

17 lutego 2011 r.

Spotkanie

z Tomaszem Grzywaczewskim,
Bartoszem Malinowskim i Filipem Drożdżem,
uczestnikami wyprawy

Long Walk Plus Expedition

Inicjatywa i zrealizowanie wyprawy to wyjątkowy hołd złożony Witoldowi Głińskiemu i wszystkim Polakom, którzy podczas drugiej wojny światowej poddani zostali represjom sowieckiego aparatu władzy.

Tomasz Grzywaczewski

- łódzianin, z rozsądku student prawa, a z pasji dziennikarz i podróżnik. Z Berberami w górach Atlas jadł kuskus z jednej miski, a na bezkresnych stepach zażywał mongolską tabakę. Rzecznik prasowy Explorers Festival, jednego z największych na świecie festiwali gór, przygody i sportów ekstremalnych. Stały współpracownik działów podróżniczych we "Wprost" oraz "Dzienniku. Gazecie Prawnej". Zafascynowany bogactwem Samotnej Planety, której nigdy do końca nie poznamy, ale którą możemy spróbować odkrywać. Dlatego "nie marnuje czasu, nie czeka" i w swoich reportażach próbuje opisać oraz zrozumieć otaczającą nas rzeczywistość. Może zapomnieć szczoteczki do zębów, ale na pewno nie notatnika i aparatu fotograficznego. Nie znosi rutyny, a najlepiej czuje się w drodze, kiedy każdy kolejny dzień stanowi nową przygodę i wyzwanie. W życiu oraz w podróżach zgodnie ze słowami Roberta Frosta "z dwóch dróg wybiera zawsze tę mniej uczęszczaną".

Bartosz Malinowski

- łódzianin, niestrudzony odkrywca dzikich i niezabetonowanych miejsc na Ziemi. Konno przemierzał stepy i góry Mongolii, wędrował na wielbłądach, słońcach i innych wierzchowcach, lecz na własnych nogach czuje się najlepiej. Z wykształcenia technik obsługi ruchu turystycznego. Animator i pomysłodawca comiesięcznych imprez podróżniczych "Kultury w obiektywie". Miłośnik klimatów wschodnich, zafascynowany przyrodą i kulturą Azji, uwielbia długie wyprawy w dobrym towarzystwie. Razem z Asią Mikołajczak pokonał pieszo górskimi bezdrożami ponad 2500 kilometrów podążając łukiem Karpat. Latem kocha spać pod gwiazdami, a zimą w namiocie. Smakosz ciemnych piw. Przez życie wędruje nieprzetartymi szlakami. W wyprawach towarzyszą mu aparat fotograficzny oraz motta, "chwytaj dzień" oraz "maszeruj albo zdychaj"! Marzy o opłynięciu Ameryki Południowej jachtem Victoria. Przewodnik beskidzki (122). Członek i pilot Grupy wyprawowej Chate.pl



Na Lotnisku Okęcie w dniu rozpoczęcia wyprawy
<http://www.national-geographic.pl/artikuly/pokaz/wyprawa-long-walk-plus-expedition-rozpoczeta/>

Filip Drożdż (operator)

- łódzianin, student Wydziału Operatorskiego PWSFTviT w Łodzi i Grafiki na ASP w Krakowie. Autor zdjęć wielu filmów dokumentalnych i fabularnych. Od najmłodszych lat podróżował po Polsce, objechał stopem Europę rysując i fotografując. Podróżnik z pasji, najbardziej lubi wyprawy bez mapy oraz spotkania i rozmowy z ludźmi.

<http://www.longwalk.pl/uczestnicy>



Od lewej: Bartosz Malinowski, Tomasz Grzywaczewski, Filip Drożdż

http://www.wlochyki.com/index.php?plik=pokaz&pokaz_ID=438&pokaz_kat=z



Witold Gliński Rzykowałem życie, by żyć

6,5 tysiąca kilometrów przez skutą lodem Syberię, pustynię Gobi, Chiny i Himalaje. Polak, który dokonał brawurowej ucieczki z sowieckiego łagru, opowiada o swoich przeżyciach i o tym, jak po wojnie skradziono mu życiorys

Epopeja rozpoczęła się zimą 1941 roku w łagrze pod Jakuckiem, w samym sercu Syberii. Miasto i jego okolica uznawane są za najzimniejsze zamieszkane miejsce na ziemi. W zimie pod Jakuckiem może być nawet minus 65 stopni Celsjusza. A podobno podczas wojny klimat był jeszcze surowszy.

- To była taka noc, o której się mówi, że nawet psa nie wygania się z domu. Dla nas to powiedzenie miało wtedy realny wymiar, bo strażnicy obozowi rzeczywiście mieli psy. Groźne wilczury, które mogły rozerwać człowieka na strzępy. Jeżeli wpadłyby na nasz trop, byłibyśmy zgubieni. Nie muszę panu mówić, jaką karę NKWD przewidziało dla śmiatków, którzy zdecydowali się zbiec z łagru - opowiada Witold Gliński.

Nad obozem szalała burza śnieżna. Skonani katorżniczą pracą więźniowie spali w barakach, jedyne światło widać było w oknie strażnicy. Dochodziły z niej przytłumione rosyjskie przekleństwa i słowa ordynarnych piosenek. Strażnicy różnili w karty i pili wódkę. - Nie przyszło im do głowy, że ktoś mógłby próbować ucieczki. Nawet w lecie warunki na Syberii są ekstremalne, a co dopiero w środku zimy. My jednak podjęliśmy to ryzyko. Dla nas im pogoda była gorsza, tym lepiej. Zamieć zacierала nasze ślady - wspomina Gliński.

Mówi w liczbie mnogiej, bo wraz z nim uciekło sześciu innych mężczyzn. Trzech polskich żołnierzy wziętych do niewoli po 17 września 1939 roku, Żyd z Ameryki - inżynier komunista, który przybył do ojczyzny proletariatu, aby budować moskiewskie metro, ale został aresztowany za "szpiegostwo" - Jugosłowianin Zaro i jeden więzień kryminalny. Ukraiński morderca Batko, który miał później sprawić ekipie sporo kłopotów.

- Ucieczkę planowałem sam. Gdy zrobiłem podkop pod drutami kolczastymi, obejrzałem się i zobaczyłem za sobą kilka postaci. Wpadłem w panikę. Uważałem, że w grupie nie mamy szans. Spojrzałem jednak na nich. To byli nieszczęśliwi, zdesperowani ludzie, którzy gotowi byli na wszystko, byle nie zginąć w łagrze. Dałem im znak ręką, żeby ruszali za mną - mówi Gliński.



Witold Gliński z żoną

Najgorsze były pierwsze dni. Aby zyskać przewagę nad pościgiem, narzucili sobie zabójcze tempo. Szli forsownym marszem po 20 godzin na dobę, nie spali przez tydzień. Śnieg padał bez przerwy, dniami i nocami, nie widzieli "dalej niż czubek własnego nosa". Temperatura była tak niska, że z trudem oddychali, nogi grzęzły w głębokich zaspach. Co chwila zapadali się w śnieg po pachy. Wiedzieli jednak, że jeżeli się zatrzymają - będą zgubieni.

Przechwycona historia

To był początek wielkiej przygody, która miała trwać 11 miesięcy. Przygody, która zawładnęła wyobraźnią ludzi na całym świecie. W 1955 roku w Wielkiej Brytanii ukazała się bowiem książka oficera armii Andersa Sławomira Rawicza "Długi marsz", która z detalami przedstawiła całą ucieczkę. Szybko stała się bestsellerem, przetłumaczono ją na 25 języków, nakłady szły w miliony. Był to podobno największy sukces wydawniczy polskiego autora od czasu Henryka Sienkiewicza.

Problem w tym, że Rawicz napisał, iż to właśnie on był tym Polakiem, który obmyślił plan ucieczki i poprowadził całą grupę. Przez wiele lat był oficer, który po wojnie osiadł na wsi w rejonie Nottingham, żył w nimbie bohatera. Kolejne wydania książki przynosiły mu spore zyski. Pierwsze wątpliwości co do autentyczności jego relacji pojawiły się już jednak za jego życia (zmarł w 2004 roku). Wielu czytelników uważało, że podobny wyczyn był po prostu niemożliwy.

W 2006 roku dziennikarz BBC Hugh Levinson postanowił wyjaśnić zagadkę. Przez wiele miesięcy badał wojenne archiwa w Polsce, na dzisiejszej Białorusi - skąd pochodził Rawicz - w Rosji i Ameryce. Nigdzie jednak nie mógł znaleźć choćby najmniejszej wzmianki o ucieczce oficera. Wreszcie okazało się, że kluczowe dla sprawy dokumenty znajdowały się pod samym nosem brytyjskiego reportera, w Instytucie Władysława Sikorskiego w Londynie.

Chodzi o teczkę osobową Rawicza z armii Andersa, z której wynika, że Rawicz rze-

czywiście był w łagrze, ale został z niego wypuszczony na mocy amnestii po pakcie Sikorski-Majski w 1941 roku. Właśnie w taki sposób trafił do II Korpusu. Gdy Levinson ogłosił swoje rewelacje, wydawało się, że sprawa została ostatecznie wyjaśniona. "Długi marsz" okazał się mistyfikacją, produktem bujnej wyobraźni polskiego oficera.

Levinsona niepokoił tylko jeden detal: podczas swoich poszukiwań trafił do oficera brytyjskiego wywiadu Ruperta Mayne'a, który podczas wojny służył w Kalkucie. Opowiedział mu on, że rzeczywiście w 1942 roku przesłuchiwał kilku ludzi, którzy dokonali brawurowej ucieczki z sowieckiego łagru. Niestety Mayne nie zapamiętał ich nazwisk. Czyżby więc "Długi marsz" był jednak oparty na prawdziwej historii? Jeżeli jednak ucieczki nie dokonał Rawicz, to kto?

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. W 2009 roku angielski dziennikarz John Dyson usłyszał, że w małym, zapomnianym miasteczku Camborne w Kornwalii mieszka pewien brytyjski emeryt polskiego pochodzenia, który "przeszedł w Sowietach straszne rzeczy". Nazywał się Witold Gliński. Dyson pojechał do niego i wkrótce, w majowym numerze "Reader's Digest", opublikował sensacyjny artykuł. Według niego człowiek, któremu Rawicz ukradł życiorys, został odnaleziony.

- Dlaczego milczał pan przez tyle lat? Dlaczego nie zdemaskował pan Rawicza, skoro to pan dokonał tej ucieczki?

- On był głośnym pisarzem. Stali za nim adwokaci, jego wydawnictwo, miliony czytelników. Ja byłem tylko skromnym imigrantem, pracowałem przy budowie autostrad. Kto by mi uwierzył? Bałem się, że zostanę wyśmiany, że uznają mnie za jakiegoś naciągacza. Poza tym rozpocząłem tu nowe życie, ożeniłem się z Angielką. Nie chciałem wracać do tamtych przeżyć. To był dla mnie zamknięty rozdział.

- Jak Rawicz wszedł w posiadanie pańskiej historii?

- Gdy przez Indie przedostałem się do polskiej armii w Wielkiej Brytanii, o mojej sprawie zrobiło się dość głośno. Pewnego dnia usiadło ze mną kilku oficerów i przez kilka godzin mnie przesłuchiwali. Opowiedziałem im wszystko z detalami. Była z nami sekretarka, która wszystko spisywała na maszynie, i powstał z tego pokaźny raport. Słyszałem, że po kilku latach ten raport zniknął z archiwum...

Najgorszy wróg: człowiek

Gliński, wraz z towarzyszami, przez blisko rok pokonał pieszo 6,5 tysiąca kilo-

metrów. Syberia - Mongolia - Chiny - Himalaje - Indie. Szli cały czas na południe. Przez pierwsze 40 kilometrów utrzymywali kierunek dzięki znakom pozostawionym wcześniej na drzewach przez Glińskiego - wychodząc do pracy przy wyrębie tajgi, po kryjomu nacinał korę - a potem orientowali się po tym, jak rośnie mech, i po gwiazdach.

W chwili opuszczenia obozu Gliński miał zaledwie 17 lat. - Przed wojną należałem do polskiego harcerstwa. Toczyliśmy z kolegami rozmaite gry wojenne, uczyliśmy się, jak przetrwać w trudnych warunkach. Jak rozpoznawać kierunki, odnajdywać źródła wody i jadalne rośliny. Jak rozpałić ogień. Może to zabrzmie śmiesznie, ale chyba właśnie dzięki temu, że byłem harcerzem, udało mi się przetrwać - opowiada Witold Gliński.

Do ucieczki znakomicie się przygotował. W obozowej kuźni zrobił siekierę i nóż, udało mu się zgromadzić nieco jedzenia, w kancelarii przerysował mapę, a żona dowódcy łagru Maria Uszakow - która się w nim podkochiwała - podarowała mu ciepłe ubranie i skarpetki. Potajemnie uszył sobie grubą czapkę i rękawice. Przed ucieczką przez kilka tygodni ukrywał to wszystko w rozmaitych miejscach na terenie łagru.

Skromne zapasy jedzenia, głównie suchary z obozowych racji chleba, szybko się jednak skończyły. - Jedliśmy wszystko, co wpadło nam w ręce. Korę z drzew, trawę, robaki, a nawet węże. Raz bardzo się od tego pochorowaliśmy. Nie udało się bowiem do końca wyczyścić jadu, który wąż miał w gardle. Nasiąkło nim mięso - relacjonuje. Póki byli na Syberii, wody im nie brakowało, jednak później musieli przekroczyć pustynię Gobi. Tam temperatura przekraczała 40 stopni. Tym razem na plusie. - Skąd mieliśmy wodę? Musieliśmy ją zlizywać z kamieni - tłumaczy polski uciekinier.

Brak jedzenia i picia oraz ekstremalne warunki pogodowe nie były wcale największymi przeciwnościami, z jakimi musieli się zmagać. W każdej chwili bowiem mogli paść ofiarą wygłodniałego dzikiego zwierza lub jeszcze gorszego drapieżnika - człowieka. - Ludzi baliśmy się najbardziej. W Sowietach każde spotkanie z człowiekiem groziło denuncjacją do NKWD. Mogliśmy też natknąć się na jakichś półdzikich koczowników, którzy zamordowaliby nas dla naszego nędznego dobytku - mówi Gliński.

Nie brakowało również konfliktów wewnątrz grupy. - Gdybym powiedział, że byliśmy wspaniałym, zgranym zespołem, że przeżyte razem niebezpieczeństwa wytworzyły między nami więzi przyjaźni, skłamałbym. Prawda jest taka, że nie przepadaliliśmy za sobą ani sobie nie ufaliśmy. Dochodziło do konfliktów - wspomina polski uciekinier.

Największe kłopoty były z Ukraińcem Batką. Raz o mało nie dokonał napadu na wieś i nie zgwałcił miejscowej kobiety, innym razem zabił człowieka. Działo się to na jakiejś odludnej syberyjskiej stacji. Batko zakradł się tam i zamordował mężczyznę, prawdopodobnie urzędnika lub żołnierza, któremu ukradł kilkanaście pudełek kakao. Spotkało się to z ostrym protestem towarzyszy. Nie tylko dlatego, że zginął niewinny człowiek. Batko naraził całą grupę. Zabójstwo mogło przecież spowodować obławę.

- Relacje były napięte. Ale jednocześnie śmierć moich towarzyszy była dla mnie wielkim nieszczęściem - mówi Gliński. Do Indii dotarło bowiem tylko czterech z siedmiu uciekinierów. Po drodze zostało trzech polskich żołnierzy. Dwóch umarło z wycieńczenia: szkorbut i krwawa biegunka uniemożliwiły im dalszy marsz. Trzeci spadł w przepaść w Himalajach. - Do dziś nie mogę się pogodzić z tym, że nie udało mi się doprowadzić do celu tych ludzi. Gdy wracam myślami do przeżyć sprzed 70 lat, właśnie wspomnienie o tych trzech żołnierzach jest dla mnie najbardziej bolesne. Dlaczego oni zginęli, a ja przetrwałem? Czy mój młody organizm był silniejszy, czy też może po prostu miałem więcej szczęścia?

W bydlęcym wagonie

Rozmawiamy w domu Glińskiego w Cambridge. Skromny salon urządzony w stylu angielskim. Lampy z tkanymi abażurami,

staroświeckie pianino, porcelana i populary na Wyspach elektryczny kominek. Gliński osiadł tu po wojnie, ma czterech synów i ośmioro wnucząt. Siedzi na swoim ulubionym skórzanym fotelu, żona pokazuje stary, zielony i popękany album fotograficzny. Są w nim dwa pożółkłe zdjęcia jego rodziców.

Witold Gliński urodził się w 1924 roku. Mieszkał w niewielkiej osadzie pod miasteczkiem Głębokie na Wileńszczyźnie. Jego ojciec był polskim osadnikiem wojennym, weteranem wojny 1920 roku, właśnie za walkę z bolszewikami dostał od państwa nadział ziemi. Mama była prawosławna. Gdy Wilno znalazło się pod okupacją sowiecką, rodzina Glińskich - wraz z setkami tysięcy innych mieszkańców Kresów - została załadowana do bydlęcych wagonów i deportowana na Wschód.

Witold został odłączony od matki i trafił do więzienia NKWD pod Moskwą. Odmałwiał wszelkich zeznań. Pomimo młodego wieku jako "nieprzejednany wróg Związku Sowieckiego" dostał wyrok 25 lat łagrów. Wkrótce zaczął się etap. - Do dziś pamiętam ten koszmar. Zapakowali nas do wagonów i wieźli chyba ze dwa, trzy miesiące. Głodzili nas, nie dawali wody i opału - opowiada. Tak trafił do Jakucji.

W łagrze Gliński od zmierzchu do świtu wyrąbywał las przy trzaskającym mrozie i głodowych racjach żywnościowych. Średnia długość życia nie przekraczała kilku miesięcy. Całe szczęście jako złota rączka od czasu do czasu naprawiał i konserwował radio komendanta. Właśnie dzięki temu poznał jego żonę Marię Uszakow.

- To była bardzo nieszczęśliwa kobieta. Wykształcona, grała na pianinie, czytała poezję. Tymczasem trafiła z mężem, oficerem NKWD, do paskudnego łagru na końcu świata. Była świadkiem straszliwych ludzkich cierpień. Czasami mam wrażenie, że traktowała mnie jak syna. Zresztą podobnie jak moja mama miała na imię Maria. Wiedziała o moim planie i bez jej pomocy moja ucieczka byłaby niemożliwa - opowiada Gliński.

- Dlaczego pan uciekł z łagru?

- Zaryzykowałem życie, bo... chciałem żyć. Lepiej było zginąć, walcząc, zginąć podczas ucieczki niż siedzieć na miejscu i czekać na powolną śmierć.

- Szanse na powodzenie pańskiego planu były jednak znikome.

- Szansy na przeżycie w łagrze nie było zaś w ogóle.



<http://www.rp.pl/galeria/474108,9,474180.html>

- Czy podczas ucieczki miał pan moment zwątpienia, gdy chciał pan po prostu usiąść na ziemi i nie iść dalej?

- Nigdy. Gdyby dopadła mnie taka chwila słabości, nie rozmawialibyśmy teraz. Moje kości do dziś leżałyby gdzieś na stepie Syberii czy pustyni Gobi. Żeby przejść tę trasę, by przedostać się do Indii, nie mogłem zwątpić nawet na chwilę. Nawet na chwilę nie mogłem stracić wiary. Nie, Syberia mnie nie złamała. To były inne czasy. Mężczyźni byli wtedy ulepiani z zupełnie innej gliny. Walka o przetrwanie, walka z siłami natury była moim żywiołem. Wyznam panu coś: od początku wiedziałem, że wygram.

Spotkanie z "yeti"

Ostatni i być może najcięższy etap wędrówki polegał na przekroczeniu Himalajów. Wycieńczeni wędrowcy musieli się przedzierać przez omiotane burzami śnieżnymi skaliste góry. Właśnie tam według Rawicza - ten fragment jego książki wzbudzał największe kontrowersje - miało nastąpić spotkanie z... yeti. Polski oficer w swoich "wspomnieniach" ze szczegółami opisał dwie czelakopodobne bestie, które stały na drodze uciekinierów.

Zapytany o ten fragment książki Gliński długo nie odpowiada. - No cóż, rzeczywiście coś wtedy spotkaliśmy. Ale ja nigdy nie napisałbym tak jak Rawicz, że było to yeti. Co to było? Do dziś nie mam pojęcia. Dzielił nas dystans około 200 jardów. Na śniegu odbijały się silnie słoneczne refleksy, cienie wydłużały jakieś dwie dziwne postacie. Może były to jakieś zwierzęta, może grubo ubrani ludzie. Nie mieliśmy ochoty tego sprawdzać, wybraliśmy inną drogę - dodaje.

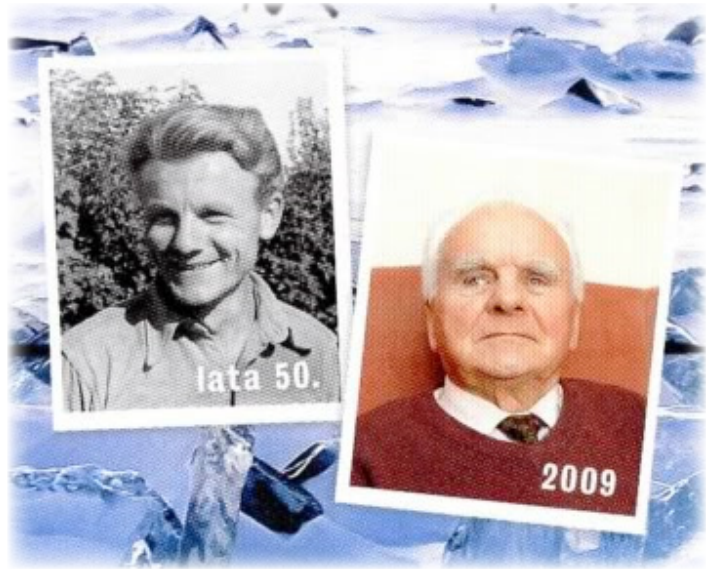
Koniec wędrówki nastąpił w 1942 roku, gdy po przekroczeniu gór znaleźli się na terytorium Indii. Tam natknęli się na pa-

trolujący granicę brytyjski oddział złożony z Gurków.

- Wrażenie? Byłem tak wyczerpany, że chyba nie miałem siły, żeby się ucieszyć. Myślę, że właśnie wtedy osiągnąłem kres możliwości swojego organizmu. Najbardziej z tego spotkania zapamiętałem to, że Gurkowie dali nami kanapki i herbatę. Pierwszy normalny posiłek od roku! - powiedział Gliński.

Uciekinierzy znajdowali się w opłakanym stanie. Ubrania w strzępach, długie brody, wychudzone, pokryte wrzodami ciała. Natychmiast przewieziono ich do Kalkuty, gdzie umieszczono ich w szpitalu wojskowym. Odwieszono, ogolono i umyto. Jak wspomina Gliński, "wreszcie wyglądali jak ludzie". W szpitalu spędził kilka miesięcy, zanim - przez Związek Południowej Afryki - został przetransportowany do Szkocji, gdzie zaciągnął się do 1. Dywizji Pancerniej.

W 1944 roku pod dowództwem generała Stanisława Maczka wziął udział w lądowaniu w Normandii. Podczas jednej z bitew trafił go odłamek niemieckiego szrapnela. Gliński, opowiadając, podciąga nogawkę, do dziś na łydce widać duże, głębokie blizny. - Nogę uratował mi żydowski lekarz polowy służący w polskim szpitalu wojskowym. Znakomity chirurg! Wydłubał z rany wszystkie ułamki kości i złożył ją jak puzzle - relacjonuje. Po kilku miesiącach rekonwalescencji Gliński znowu



<http://clevera.blox.pl/2010/02/Dlugi-marsz-8211-Slawomir-Rawicz.html>

wrócił na front. Bił się jeszcze z Niemcami w Belgii. Po wojnie jako uciekinier z łagru nie miał po co wracać do okrojonej, opalonej przez komunistów Polski.

Niedawno dowiedział się, że znany hollywoodzki reżyser Peter Weir ("Stowarzyszenie umarłych poetów", "Truman Show") na kanwie książki Rawicza nakręcił epicką superprodukcję "The Way Back" ("Droga powrotna"). Zdjęcia były kręcone w Bułgarii, Maroku i Indiach, a główne role zagrali Ed Harris i Colin Farrell.

Weir do dziś nie skontaktował się z Glińskim (w jednym z wywiadów reżyser powiedział, że wszystko mu jedno, kto naprawdę uciekł z Jakucji). Niektórzy dziennikarze spekulują zaś, że Gliński "przypomniat sobie" nagle o swojej historii z chęci zarobku. Że ma nadzieję, że trafi do niego część zysków z filmu i kolejnych wydań książki Rawicza, które niewątpliwie pojawią się na rynku, gdy nastąpi premiera filmu.

- To całkowita bzdura. Po co mi pieniądze? Mam ich dość, by godnie żyć. Gdybym wziął choć pensa, czułbym, że w ten sposób zarabiam na śmierci moich trzech towarzyszy, którzy nie zdołali dotrzeć do Indii. Nie, to zbyt osobista, zbyt tragiczna sprawa, by czerpać z niej zyski. Być może właśnie dlatego przez tyle lat nie zdemaskowałem Rawicza, nigdy sam nie napisałem książki czy scenariusza filmowego - mówi Gliński. - A co do tego filmu: tytuł jest zupełnie chybyony. "Droga powrotna". Ja przecież nigdy nie wróciłem na Wileńszczyznę.

Cyt.: Rzykowałem życie, by żyć / [z Witoldem Glińskim rozmawia Piotr Zychowicz] // Rzeczpospolita. 2010, 2 kwietnia [dostęp]
<http://www.rp.pl/artukul/456287.html>
http://niniwa2.cba.pl/ucieczka_z_lagru.htm



<http://www.odyssei.com/files/00/47/4752/4752.jpg>

Max Fuzowski "Długi marsz" - prawdziwa historia

Colin Farrell, grający w filmie „The Way Back”, nigdy nie słyszał o Witoldzie Głińskim, ale życie tego właśnie człowieka stało się kanwą powstającej hollywoodzkiej superprodukcji. Ten nieznaną światu Polak w 1941 roku uciekł z sowieckiego łagru na Syberii i pieszo dotarł do Indii. Historię jego życia ukraść Sławomir Rawicz, który w latach 50. XX wieku opublikował ją jako własną w bestsellerowej książce „Długi marsz”. Po latach dotarliśmy do jej prawdziwego bohatera.

Koniec lutego 1941 roku. Grupa więźniów sowieckiego obozu na Syberii planuje ucieczkę. Połowa z nich to Polacy. Zamierzają pokonać pieszo sześć tysięcy kilometrów i przez Himalaje dotrzeć do Indii. Ruszają w morderczą podróż, pełną dramatycznych zdarzeń, a jednym z nich jest spotkanie z yeti. Wędrują kilkanaście miesięcy, doskwierają im choroby i głód, nie wszystkim uda się dotrzeć do celu.

To zarys fabuły powstającej właśnie superprodukcji „The Way Back”. Reżyseruje Peter Weir, autor „Pikniku pod wiszącą skałą” i „Stowarzyszenia Umarłych Poetów”, kilkakrotnie nominowany do Oscara. To historia w sam raz dla Hollywood, poruszająca opowieść o heroizmie, przyjaźni i walce o życie. Jedną z głównych ról zagra gwiazdor historycznych widowisk Colin Farrell. Zapowiada się więc także sukces kasowy.

Film jest oparty na faktach. A ściślej na kanwie wspomnieniowej powieści „Długi marsz” napisanej w 1956 roku przez polskiego oficera w stanie spoczynku Sławomira Rawicza, który po wojnie osiadł w Wielkiej Brytanii. Książka stała się światowym bestsellerem – przetłumaczona na 25 języków i sprzedana do dziś w nakładzie kilku milionów egzemplarzy. Sęk w tym, że nie jest to biografia Rawicza.

Trzy lata temu, już po śmierci autora, dziennikarz radia BBC Hugh Levinson ujawnił, że Rawicz to oszust.

– Odkryłem białoruską dokumentację, która wyraźnie wskazywała, że informacje o jego pochodzeniu były nieprawdziwe. Otrzymaliśmy też rosyjskie sprawozdanie z przesłuchań osoby o tym samym imieniu i nazwisku. Historia z raportu diametralnie różniła się od opisanej w książce – mówi „Newsweekowi” Levinson. Gdy Rawicz miał przedzierać się przez Himalaje, w rzeczywistości był z polską armią w Iraku. Z obozu wcale nie uciekł, ale zwolniono go na mocy amnestii.

Piękny mit został obalony, bohater okazał

się kłamcą. Tyle że w miejscu, w którym kończy się historia oszusta, ma swój początek zupełnie inna, ciekawsza opowieść.

Zapomniany bohater

Jest połowa grudnia 2009 roku. W Kornwalii, wietrznej południowo-zachodniej części Anglii Joyce i Witold Gliński świętują 60. rocznicę ślubu. Ten rok jest dla Witka, jak nazywają go angielscy przyjaciele, wyjątkowy z jeszcze jednego powodu. O nim także powstaje film, tyle że dokumentalny. Kręci go James Dyson, dziennikarz magazynu „Reader’s Digest”, wraz z ekipą polskiej Fundacji Tumult, organizującej festiwal Plus Camerimage. Tutaj też będzie mowa o spektakularnej ucieczce z obozu na Syberii.

Witkowi nigdy nie podobał się „Długi marsz”. Nic w tym dziwnego, w końcu już przeszło 50 lat temu wiedział, że historia brawurowej ucieczki z łagru została przywłaszczona przez Rawicza. Jej prawdziwym bohaterem jest właśnie Gliński. Do tej pory opowiedział o tym tylko Dysonowi. Teraz zgodził się także porozmawiać z „Newsweekiem”.

– Tuż po wojnie spisałem raport o swoich wojennych losach, który złożyłem w polskiej ambasadzie w Londynie. A w 1957 roku trafiłem na „Długi marsz”. Od razu było jasne, że Rawicz ukraść mój raport. Ale powieść biła rekordy powodzenia. Czy ktoś by mi wtedy uwierzył, gdybym powiedział, że to moja historia? – pyta rozgoryczony. O tym, że po latach jednak postanowił mówić, zdecydował przypadek.

– Jesienią zeszłego roku zbierałem materiały do artykułu o połowie ryb w Kornwalii – opowiada nam James Dyson. – Rybak, z którym pracowałem, Stefan Gliński, zapytał, czy znam „Długi marsz”. Powiedziałem, że tak. Stefan wyznał z dumą: „To o moim ojcu”. Spytałem, czy mógłbym z nim porozmawiać. „Jasne, zapakuj tylko do jego drzwi” – odparł Stefan.

To nie był heroizm

Witold Gliński urodził się 87 lat temu w Głębokiem na terenach dzisiejszej Białorusi. Wtedy była to część polskiego województwa wileńskiego. Gdy wojska sowieckie zajęły te tereny we wrześniu 1939 roku, Witek został aresztowany. Jego ojciec walczył w tym czasie z Niemcami. To wystarczyło, aby siedemnastolatek dostał dwadzieścia pięć lat ciężkich robót w obozie na Syberii. – Matka, brat i siostra też zostali aresztowani. Od razu nas rozdzielili. Trafiłem do więzienia na Łubiance, a potem zapakowali nas do pociągu i pojechaliliśmy na wschód – wspomina dziś.

Historia Glińskiego nie jest tak heroiczna

jak ta, którą przypisał sobie Rawicz. On jawi się w „Długim marszu” jako dzielny młody kawalerzysta, który krótko po kampanii wrześniowej miał zostać niesłusznie oskarżony o szpiegostwo. Mimo psychicznych i fizycznych tortur sowieckim śledczym nie udało się zmusić go do przyznania się do winy. Jedyne, co w tej części obu opowieści się zgadza, to wyrok i miejsce zsyłki – obóz 303 położony na południowy zachód od Jakucka. No i podróż. Brudne, przepełnione wagony towarowe sunące powoli przez bezkresne połacie Związku Radzieckiego. Zatrzymywali się rzadko, zawsze z dala od ludzkich osad. Z wagonów wyrzucano do rowów ciała zmarłych i pociąg ruszał dalej. Aż do Irkucka. Stamtąd zakuci w kajdany więźniowie maszerowali już na piechotę. Przebyli ponad 1200 kilometrów w sześć tygodni. Jesienią 1940 roku Gliński dotarł wycieńczony do obozu.

– Przydzielono mnie do pracy przy wyrębie lasu. To była ciężka robota. Zraniłem się w nogę, więc zabrali mnie do kuźni, gdzie było cieplej i nieco lżej – opowiada. Uciekł po kilku miesiącach pobytu w obozie. Pytam, czy się nie bał, w razie wypadku groziła przecież kula w łeb. Gliński odparł: – Bardziej przerażało mnie to, że umrę w obozie, bo dookoła ludzie padali jak muchy. Do ucieczki nie skłoniła mnie odwaga. To nie był heroizm, tylko przeraźliwy strach przed śmiercią.

I tu znów między historią Glińskiego i Rawicza pojawia się dysonans. Autor „Długiego marszu” twierdził, że zaproponował wspólną ucieczkę kilku więźniom, bo chciał wyzwolić nie tylko siebie, ale także pomóc innym. Gliński zaś twierdzi, że nie chciał nikogo ze sobą zabierać. To był czysty egoizm. Instykt samozachowawczy podpowiadał mu, że im więcej ludzi, tym więcej kłopotów. Miał też trochę szczęścia, bo w ucieczce pomogła mu żona komendanta obozu Maria Uszakow. Gliński naprawiał u niej w domu radio, a że kobieta mieszkała przez jakiś czas w naszym kraju, miała słabość do Polaków. Zebrała dla Witka trochę ubrań, buty, jedzenie.

Na ścianach domu wisiły mapy. Dokładnie je przestudiował, musiałem zapamiętać jak najwięcej szczegółów – opowiada Gliński. – Wiedziałem, że potem bardzo mi to pomoże.

Wielka ucieczka

Uciekł w lutym 1941 roku. Zima była sroga. Ale i szanse na to, że ktoś wyruszy w pościg mniejsze. Gdy przeczołgiwał się pod ogrodzeniem, zauważył za sobą mężczyznę. Myślał, że już po nim. Okazało się, że to był więzień, a za nim kolejni. W sumie dołączyło do Glińskiego osiem

osób. Trzech Polaków, w tym dwóch oficerów. Dwudziestokilkuletni Chorwat Zaro. Niemal trzydziestoletni Batko, poszukiwany w Polsce za morderstwo Białorusin próbujący zbiec do Legii Cudzoziemskiej, ale aresztowany za pospolite przestępstwo i zesłany do obozu. A także największy oryginał, najstarszy z grupy, ponadczterdziestoletni Amerykanin Smith, inżynier pracujący przy budowie moskiewskiego metra, zatrzymany przez Sowietów pod zarzutem szpiegostwa. Pozostała dwójka nie zdążyła się przedstawić. Jeden z więźniów przestraszony wrócił do obozu chwilę po jego opuszczeniu. Drugi zgubił się jeszcze tej samej nocy.

– Pierwszy etap podróży był najtrudniejszy. W śnieg wpadało się po pas. Sypało tak, że widziałem najwyżej pół metra przed sobą. No i mróz, do którego zdołaliśmy przyzwyczaić się dopiero po trzech dniach – mówi Gliński, którego zbiegowie namaścili na szefa i przewodnika. Żywili się czym popadło. Wygrzebanymi spod ziemi korzonkami, resztkami roślin, z rzadka upolowanymi ukradzioną siekierą zwierzętami. Wkrótce dołączyła do nich dziewczyna, Krystyna Polańska, uciekinierka z przymusowego zesłania do kołchozu. Mówiła, że zamordowała chłopca, który próbował ją zgwałcić. Obecność kobiety była dla zbiegów problemem, ale przecież nie mogli jej zostawić. Krystyna zaczęła chorować. Spuchła jej noga, potem reszta ciała. Uciekinierzy przypuszczali, że to gangrena. Nie mieli żadnych lekarstw, środków odkażających, alkoholu. Niczego, co by mogło pomóc. Mężczyźni próbowali ją nieść, zmieniając się co kilka kilometrów. A dzień nie pokonywali ich nawet trzydzieści. Mieli do przejścia sporą trasę, bo za cel obrali sobie bezpieczne Indie. Agonia Krystyny trwała kilka dni. – Ale przed śmiercią powiedziała, że jest szczęśliwa, iż umiera w polskich rękach – wspomina Gliński.

W książce Rawicza także pojawia się Krystyna. Również umiera. W produkcji Weira zagra ją zaledwie piętnastoletnia Saoirse Ronan, nominowana do Oscara za rolę w filmie „Pokuta”. Scenarzyści „The Way Back” zmienili jej imię na Irena. Zresztą żadna z postaci – poza Smithem, którego zagra Ed Harris – nie będzie nosiła imienia swojego książkowego pierwowzoru. Nawet Sławomir, który stanie się Januszem. I to jedyny powód, dla którego Gliński może być zadowolony. Film nie będzie jednoznacznie wskazywał, że jego bohaterem jest autor „Długiego marszu”. Choć zapewne nie zabraknie wątków, których Gliński w swojej opowieści nie zawarł, a Rawicz owszem. Jak choćby tego najgłośniejszego, od którego cała sprawa się zaczęła – spotkania z yeti.

Przeczytajcie o yeti

Był rok 1955, gdy brytyjski tabloid „Daily Mail” ogłosił, że poszukuje osób, które widziały Człowieka Śniegu. Do gazety przysłał list Sławomir Rawicz, dekorator witryn sklepowych. Szukający sensacji reporter Ronald Downing zainteresował się sprawą. Rawicz opowiadał, że natknął się na parę yeti w Himalajach. Ale Downinga zaintrygowała też reszta opowieści. Spisywał ją przez cały rok i choć książka ukazała się pod nazwiskiem Rawicza, to brytyjski reporter jest jej współautorem. Ile dopisał od siebie, tego nie wiadomo. Pewne jest natomiast, że w ciągu tygodnia wydawca musiał zrobić aż cztery dodruki „Długiego marszu”. „Od lat nie czytałem tak znakomitej przygodowej opowieści” – pisał „The Observer”. „Prawdziwie homerycka opowieść” – dodawał „The London Times”. Nikt nie przypuszczał wtedy, że bohater powieści, podobnie jak yeti, którego miał spotkać, jest nieprawdziwy. Dla Glińskiego przeprawa przez Himalaje była ostatnim odcinkiem trasy. Nie zapadła mu w pamięć tak bardzo jak wcześniejszy dramat związany z przejściem przez pustynię Gobi. To był piąty miesiąc tułaczki. Zapasy wody i jedzenia, jakie uciekinierzy zebrali, przemierzając Mongolię, szybko się skończyły. Udało im się przeżyć jedynie dzięki mięsu węży, na które polowali. Używali do tego rozdwojonych na końcu kijów.

Chwile wytchnienia przyszły w Mongolii Wewnętrznej, już na terenie Chin. Miejsce, gdzie ludność okazała się gościnna. Pastarze zabijali zwierzyne, więc uciekinierzy mogli najeść się do syta. Można było iść, lecz sielanka nie trwała długo. Przeprawa przez góry Tybetu zebrła krwawe żniwo. Najpierw zmarło dwóch polskich oficerów. – Zaczęły wypadać im zęby. Potem pojawiła się krew, która wypływała ustami. Nie mam pewności, ale zdaje mi się, że to był szkorbut – opowiada Gliński. Zmarli w męczarniach. Po nich zginął jeszcze jeden uciekinier.

Do Indii dotarło tylko czterech zbiegów: Gliński, Batko, Zaro i Smith, na którego kompani mówili Mister Smith. Na swojej drodze spotkali kilku Gurków i brytyjskiego oficera. Początkowo widok mundurów przeraził uciekinierów. Ale sprawą szybko zajął się Smith. – Dali nam chleb, czekoladę i papierosy. Wziąłem, choć nigdy nie paliłem – wspomina Gliński. Był styczeń 1942 roku. W jedenastym miesiącu wędrówki zbiegowie trafili do szpitala w Kalkucie, potem się rozdzielili.

Jeśli piśniesz słówko, zginiesz

Gliński postanowił zaciągnąć się do polskiej armii generała Andersa. Dołączył do niej w Iranie, potem został wysłany do Egiptu i południowej Afryki. Z Durbanu trafił do Wielkiej Brytanii. Znów z przygodami. Okręt, którym płynął, został storpedowany. Na szczęście uszkodzenia nie były groźne i jednostka nie zatонуła, a po kilkunastu godzinach inny okręt zabrał rozbitków do Glasgow. Gliński jako łącznościowiec został wysłany do Francji. Wylądował tam drugiego dnia inwazji. Mówi, że miał wtedy tylko jedno marzenie – ukraść samolot, załadować do niego największą z możliwych bomb i spuścić ją na Kreml.

Po wojnie krótko służył jeszcze w brytyjskich wojskach okupujących Niemcy, wreszcie osiadł na stałe w Wielkiej Brytanii. – Nie było po co wracać do Polski, bo tam byli Rosjanie. Oni zrujnowali kraj. Nie wiedziałem nawet, czy moja rodzina żyje. Moje serce się gotowało, ale wybrałem Anglię – mówi. Wtedy też spisał swój raport, na który miał trafić Rawicz.

Pozostaje pytanie o prawdziwość opowieści Glińskiego. 87-latek nie ma dowodów na potwierdzenie swojej historii. Ale jak miałyby one wyglądać? Jego towarzysze z przeprawy do Indii rozeszli się po świecie. Nie wiadomo, czy żyją. Po osiedleniu się w Anglii spotkał tylko Batkę. To było w hotelu. Batko grał w karty. Nadal miał nierozliczoną sprawę zabójstwa sprzed wojny. Widząc Witka, zareagował szybko – przyłożył palec do gardła i powiedział: „Jeśli piśniesz słówko, zginiesz”. Gliński nie pisał. Aż do dziś.

Historia, którą opowiedział „Newsweekowi”, nie mogła zostać zaczerpnięta z „Długiego marszu”, bo znacznie się od niej różni. Jest za to tą samą, którą rok temu usłyszał James Dyson. Czy Gliński byłby w stanie ją wymyślić i zapamiętać ze wszystkimi szczegółami? Wątpliwe. Jest schorowanym człowiekiem. Właściwie nie rusza się z domu. Mówienie przychodzi mu z trudem. Niemal całkowicie stracił wzrok. Hugh Levinson próbował znaleźć dokumenty, które podważyłyby prawdziwość historii Glińskiego. Takie jak te, którymi obalił wersję Rawicza. Nie udało się. Dotarł za to do Ruperta Mayne’a, oficera brytyjskiego kontrwywiadu stacjonującego w latach 40. w Indiach. Ten dobrze pamięta, że w tamtym czasie przyprowadzono do niego kilku mężczyzn. Choć nie przypomina sobie ich nazwisk, to jest pewien, że podczas przesłuchania usłyszał właśnie to, o czym dziś mówi Gliński.

BLOG WYPRAWY (fragmenty)

26 kwietnia 2010 odbyła się w Pałacu Kultury i Nauki konferencja prasowa „Long Walk Plus Expedition”, podczas której wspólnie z prezesem firmy Polkomtel, panem Jarosławem Baucem opowiedzieliśmy o podstawowych założeniach oraz idei przewodniej naszej ekspedycji.

W trakcie spotkania zaprezentowany został, wyreżyserowany przez Marcina Mamonia, filmowy zwiastun wyprawy, który obecnie dostępny jest na serwisie youtube pod adresem: <http://www.youtube.com/watch?v=KOO8aPeQnUs>.

Przygotowany materiał jest pierwszym efektem naszej marcowej wizyty u pana Witolda Glińskiego [...]

13 maja 2010

Wyruszamy!

Rano na Okęciu „godzina zero” czyli prawdziwy początek wyprawy „Long Walk Plus Expedition”!

Z Warszawy odleciemy do Kijowa, a stamtąd przez Moskwę Domodedowo do Jakucka - stolicy Republiki Sacha. Na miejsce dotrzemy o 08.50 czasu miejscowego w sobotę czyli w piątek o 23.50 czasu polskiego.

Od tej chwili postępy ekspedycji będą relacjonowane na naszym blogu dzięki pomocy naszych przyjaciół z Warszawy, z którymi będziemy w stałym kontakcie satelitarnym.

Zapraszamy również do słuchania relacji z wyprawy w Radiowej Trójce w każdą sobotę pomiędzy 15.00 a 16.00 w programie „Raport o stanie świata”, a także do odwiedzania naszej podstrony na stronach dziennika „Rzeczpospolitej” oraz strony na portalu facebook.com.

21 maja 2010

Kraina łagrów

Od soboty jesteśmy w Jakucku. Bardzo ciepło zajęła się nami szefowa miejscowej Polonii pani Walentyna Szymańska. Mieszkamy na plebanii polskiego kościoła, w pobliżu którego znajduje się pomnik poświęcony wielkim odkrywcom Syberii, m.in. Edwardowi Piekarskiemu i Wacławowi Sieroszewskiemu. Syberia przez niektórych badaczy bywa nazywana przybraną ojczyzną Polaków. Dzieje się tak za sprawą naszych rodaków, których większość trafiła tu w kajdanach i łańcuchach, ale zapisali się w historii jako jej badacze i odkrywcy wielu tajemnic. Ciekawą pracą na ten temat jest praca Antoniego Kuczyńskiego „Syberia. 400 lat polskiej diaspory. Zesłania, martyrologia i sukces cywilizacyjny Polaków”. Pani Walentyna pochodzi z rodziny zesłańców do Kazachstanu, a koleje jej życia potoczyły się tak, że dziś mieszka w Jakucku i poświęca się upamiętnianiu dziejów naszych rodaków. Słowa „Long Walk Plus Expedition” dotarła już wszędzie. O wyprawie opowiadaliśmy praktycznie wszystkim tułaczom

mediom - zarówno prasie, jak i w radiu i telewizji. Spotkaliśmy wspaniałych ludzi - zarówno pośród Polonii, jak i miejscowych. Jegor Antonow, który sam od wielu lat zajmuje się zesłańcami, przekazał nam fantastyczne materiały dotyczące łagrów w Jakucji, a trzeba pamiętać, że w latach 30 i 40 XX wieku w Jakucji w było ich ponad sto. Temat łagrów, zesłańców i losów bohaterów ucieczki śladami, której zmierny zainteresował nawet władze Republiki Sacha. I to do tego stopnia, że mamy otrzymać specjalne pismo, w którym władze proszą wszystkich, którym zostanie okazane o udzielenie pomocy uczestnikom wyprawy, czyli nam.

Jakuck to chyba najdziwniejsze miejsce na świecie. Ta założona w połowie XVII wieku warowna twierdza kozacka, dziś jest miastem pełnym kontrastów. Małymi krokami nadchodzi wiosna, a całe miasto tonie w błocie. Temperatura w ciągu dnia dochodzi już do ok. 20 stopni, ale Lena skuta jeszcze jest lodem. Najbardziej rzucające się w oczy jest wszechobecne błoto, w którym Jakuck dosłownie tonie. Na ulicach widać elegancko ubranych mieszkańców brodzących w nim, gdyż nie ma chodników, a samochody zapadają się w nim kołami. Gdy tylko zrobi się cieplej, błoto zastąpi równie wszechobecny, osiadający na wszystkim pył i kurz.

Całe miasto stoi na wiecznej zmarzlinie. Obecnie wszystkie budynki, łącznie z nawet ośmiopiętrowymi wieżowcami są budowane na palach. Można zauważyć budynki, których okna znajdują się na poziomie gruntu. To pozostałość zabudowy z początków XX wieku, która zapadła się w ziemię. Teraz wszystkie konstrukcje stawiane są na palach a media takiej jak woda, gaz, kanalizacja prowadzone są na powierzchni ziemi.

Dla przybyszów szokujące są koszty życia - ceny różnych usług, czy gastronomii są wyższe niż w Warszawie. Trzeba przyznać, że Jakuck jest dość bogatym miastem, a na jego zamożność bez wątpienia wpływ ma przemysł wydobywczy złota i diamentów, których złoża znajdują się w okolicy.



Jakuck - znicze pod pomnikiem polskich odkrywców Syberii
<http://wyprawy.onet.pl/36722,gai,70068,0,8,ekspedycja.html>

Początek wyprawy, mimo dłuższego niż się spodziewaliśmy postoju w Jakucku, jest bardzo udany. Niedługo, prawdopodobnie autobusem, ruszamy do Pokrowska, skąd w dalszą drogę już rzeką będziemy kierowali się ku Bajkałowi. Po drodze czeka nas bardzo ważny postój w Olekmińsku. W jego okolicznych lasach wciąż znajdują się dwa byłe łagry. [...] I na koniec jeszcze pewna ciekawostka. Na głównym placu Jakucka wciąż stoi pomnik Lenina, a niedawno przed Muzeum Etnograficznym odsłonięto pomnik Stalina. [...]

1 czerwca 2010

Przez tajgę do Olekminśka

Minęliśmy Bestjah i przed nami Kytł Dyura. Mniej więcej za tydzień będziemy w Olekminsku, do którego pozostało nam około 400 km. Poruszamy się przez tajgę pieszo, samochodami i płynimy rzeką. Wynik nie jest zbyt imponujący, ale to najbardziej wyczerpujący i powolny odcinek podróży. Lena wylała, drogi są zalane i nie kursują jeszcze statki rzeczne. Zmuszeni jesteśmy liczyć na życzliwość miejscowej ludności. Przebyliśmy 200 km i jesteśmy w Sinsku.

W tym rejonie teoretycznie najłatwiej jest poruszać się rzeką. W zimie gdy jest zamrznięta stanowi naturalny trakt, w lecie można płynąć. Pierwsze spotkanie z Leną było imponujące. Właśnie pękały lody, tworzyła się kra i powstawały gigantyczne torosy lodowe, które wywoływały gigantyczny trzask, huk, hałas jak w trakcie burzy, podobny w brzmieniu do strzelaniny z karabinów. Trwało to całe dnie i noce. Teraz sytuacja w dolinie Leny zmienia się o tyle, że rzeka opada, i na ogromnym obszarze pozostawia bryły lodowe wielkości boisk do koszykówki i wysokości kilku, kilkunastu metrów.

Odcinek do Sinska przemierzaliśmy na trzy sposoby: jedziemy autostopem, płynimy łodziami i wędrujemy pieszo. Zazwyczaj poruszamy się w odległości około kilometra od rzeki. Najbardziej w kość dał odcinek, który przemierzaliśmy w piecho przez góry nad doliną Leny. Mimo, że szliśmy grzbietem to brnęliśmy po kolana

w błocie. W ciągu czterech godzin udało się pokonać około 10 km. Nie jest to nawet zły wynik, podobny dystans przejechaliśmy samochodem i stary terenowy łazik potrzebował na to godzinę. Teraz staramy się podróżować rzeką korzystając z różnych nadarzających się okazji.

O ile Jakuck jest miastem zamożnym, to prowincja jest strasznie biedna. Wioski jak z XIX wieku. [...] Musi natomiast istnieć jakiś program rozwojowy dla tego regionu, gdyż tym co się rzuca w oczy są budynki szkolne. Nowiutki, pachnące jeszcze farbą, bardzo dobrze wyposażone, łącznie ze sprzętem komputerowym i często z dostępem do Internetu, stoją pośród starych, niszczących drewnianych chat.

Od wyruszenia z Jakucka co chwilę spotykamy się z czyjąś pomocą i gościnnością. To jest rejon, w którym nie bywają cudzoziemcy i nie ma absolutnie żadnych turystów. Dla miejscowych jesteśmy taką samą atrakcją, jak oni dla nas. [...] Nietypowe było również spotkanie z patrolem straży rzecznej i żołnierzem OMON. Byli tak zachwyceni naszą wyprawą, że nakarmili nas, odstąpili część swoich racji żywnościowych, a dodatkowo postanowili zaznajomić z działaniem najlepszego rosyjskiego towaru eksportowego. Od strzelania z kalasznikowa do teraz huczy nam w uszach. Jednego wieczoru wspólnie z Jakutami braliśmy udział w tańcu przy ognisku, w trakcie którego tupiąc w ziemię budziliśmy Ducha Ziemi. Również glejł od władz Republiki Sacha otwiera drzwi, szczególnie lokalnej administracji. Do tego stopnia, że często zapewniają nocleg, posiłek oraz spotkania z lokalnymi starszysznami.

Liczba doświadczeń jest niezwykła, a to co najbardziej zaskakuje, to stosunek miejscowych do Polaków. Polacy są darzeni przez Jakutów dużą estymą. Gdy mówimy, że jesteśmy z Polski, spotykamy z bardzo gorącym przyjęciem. Jest to związane z badaniami Syberii przez polskich podróżników. Książka Wacława Sieroszewskiego znajduje się nie tylko w każdej nawet najmniejszej bibliotece, ale również w wielu prywatnych domach. Sieroszewski, osadzony w Cytadeli Warszawskiej uczestnik tajnych stowarzyszeń niepodległościowych, został zesłany na Sybir za udział w buncie więźniów. Zafascynowany Jakucją podjął się badania zwyczajów ludów zamieszkujących te tereny. Jego książka „Dwanaście lat w kraju Jakutów” jest pierwszą pracą naukową na ten temat. Za ukazanie świata i utrwalenie dla potomnych kultury Jakutów został zwolniony, dzięki poparciu rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, z zesłania i otrzymał prawo do przebywania na terytorium Królestwa Polskiego. [...]

12 lipca 2010

Nad Bajkałem

Siwerobajkalsk do którego dotarliśmy to największe miasto na północnozachodnim brzegu Bajkału. Ostatni odcinek z Ust-Kutu pokonaliśmy BAMem, czyli bajkalsko-amurską magistralą kolejową, która jest bliźniaczą siostrą kolei transsyberyjskiej. W Ust-Kut zakończyliśmy rzeczny etap naszej wyprawy. Dotarliśmy tu na wielkiej barce kontenerowej. Spływ był niesamowity i zafascynowała nas Lena, która zmieniła się w znacznie mniejszą rzekę i stała się bardzo kręta. W ramach odwzięczenia się za transport malowaliśmy barkę, która nas zabrała.

Ukończona w 1991 roku kolej bajkalsko-amurska to jedna ze sztandarowych inwestycji sowieckiej Rosji. Według różnych źródeł przy jej budowie zginęło około 150 tysięcy więźniów gułagów. Linia ma ponad 4 tys. km długości i biegnie na północ od kolei transsyberyjskiej równolegle do niej. Jej budowa była podykto-



<http://www.rp.pl/galeria/544625.html>

wana celami strategicznymi związanymi z bliskością granicy chińskiej. Budowa rozpoczęła się w latach 30-tych XX w, a większość odcinka dalekowschodniego została zbudowana w latach 1944-46 przez niemieckich i japońskich jeńców wojennych.

Siwerobajkalsk do którego dotarliśmy z Ust-Kutu właśnie BAMem to miasto powstałe w latach 70-tych ubiegłego wieku i tak naprawdę to nie ma w nim nic godnego polecenia. Obecnie liczy około 25 tysięcy mieszkańców i jest właściwie kurortem i przystanią jachtową. Jego główna zaleta jest możliwość uzupełnienia zapasów przed dalszą podróżą. Natomiast widoki są tutaj niesamowite. Pomimo tego, że mamy koniec czerwca to nad Bajkałem wznoszą się góry pokryte śniegiem. W ciągu dnia jest ciepło, ale w nocy robi się bardzo zimno z powodu wiatru wiejącego od Bajkału. [...]

13 lipca 2010

Przez Góry Barguzińskie

To był jeden z najtrudniejszych etapów naszej ekspedycji. Góry okazały się niezwykle wymagające. Nie tylko zwykły las, ale również kłębowisko chaszczy, powalonych pni i kosodrzewiny. Po prostu taka górska tajga. Trudno było się przez to przebić. Brak ścieżek zmuszał nas do wyszukiwania drogi. Pokonywaliśmy około 10 kilometrów dziennie, ale była to walka od rana do wieczora.

Jesteśmy w okolicach Alli i odcinek od brzegu Bajkału do doliny Barguzin mamy za sobą. Do granicy rosyjsko-mongolskiej mamy jeszcze kawał, bo około 600 kilometrów. Natomiast teraz będziemy się poruszali znacznie szybciej, bo po w miarę normalnych drogach, w tempie 25-30 kilometrów dziennie. Jeżeli trafi się okazja, to skorzystamy z możliwości podwieżenia. Tak dotrzemy do miasta Barguzin, a następnie do Ułan-Ude.. Mamy tylko 5 dni opóźnienia w stosunku do naszego planowanego harmonogramu, więc dość łatwo powinniśmy to nadrobić.

Góry Barguzińskie dały nam niezły wysiłek. Przejście przez ten dziewiczy teren było bardzo trudne. Cały czas szliśmy dolinami, przekraczając rzeki i przełęcz, żeby znowu wejść w dolinę. Najwyżej byliśmy na 1500 metrów, a na szczyty nie wchodziliśmy, bo to góry po 2800 metrów. [...] Zżerały nas meszki, komary i muchy końskie. Problem stanowiły również ciągłe opady, byliśmy nieustannie przemoczeni. Mieliśmy tylko ze trzy słoneczne dni. Na ostatnim etapie przeprawialiśmy się przez ponad 30 rzek. Przez całą wędrówkę nie spotkaliśmy żywego człowieka. Dodatkowo w lesie nie mieliśmy żadnego zasięgu nawet na telefonie satelitarnym. Zero kontaktu ze światem. Jakbyśmy byli w dżungli, po prostu zwarty las.

[...] Mamy ze sobą książkę dziewiętnastowiecznego podróżnika Konstantyna Rengartena, który też szedł przez te tereny. On pisze, że najtrudniejszy były właśnie trzy dni spędzone w górskiej tajdze. Chyba od dziewiętnastego wieku niewiele tu się zmieniło bo mamy podobne wrażenia. Według nas górska tajga jest naprawdę tylko dla najwytrwalszych. Dla nas, była to walka z przyrodą i żywiołami. [...]

16 lipca 2010

W Buriacji

Zakończyliśmy etap przejścia doliną rzeki Barguzin. Idąc tą wielką doliną pokonaliśmy około 250 kilometrów. Po drodze przeszliśmy przez kilka małych osad, gdzie byliśmy niezwykle ciepło przyjmowani przez lokalną społeczność. Czę-

W tajdze

http://www.wloczykij.com/index.php?plik=pokaz&pokaz_ID=406&pokaz_kat=r

die, ponieważ wieje porywisty wiatr, pada deszcz i jest zimno. Czekamy na poprawę warunków. Jeżeli poprawi się pogoda, rozpoczniemy etap pieszy wzdłuż brzegu Bajkału.

Mamy do pokonania blisko 200 kilometrów do delty rzeki Selenga, a następnie przedostaniemy się do Ulan-Ude gdzie dotrzemy około 26/27 lipca. Spędzimy tam ze trzy, cztery dni. Po pierwsze, jest tam bardzo duża Polonia, z którą musimy w trakcie naszej wędrówki się spotkać. Po drugie, Ulan-Ude to największe miasto na trasie i możemy przygotować w nim zaopatrzenie do etapu mongolskiego. Dużo czasu spędzimy też przy komputerze przygotowując materiały. Będziemy stamtąd wysłać paczki, np. materiały dla telewizji, czy płyty ze zdjęciami. Po Ulan-Ude będziemy szli już prosto do granicy gdyż zostały nam tylko trzy tygodnie ważności wizy.

Na koniec ważna informacja. W najbliższy poniedziałek, czyli 19 lipca, w Programie 2 TVP o godz. 23.40 ma być wyemitowany nasz film „Długi marsz Witolda Głińskiego”. To od niego wszystko się zaczęło i wszystkich zainteresowanych tą niezwykłą historią i tym niezwykłym człowiekiem zachęcamy do obejrzenia.

27 lipca 2010

Od Ust-Barguzin do Gramiaczyńska

[...] Nieustannie nękać nas komary, są ich setki i nawet teraz, w czasie rozmowy, muszę się od nich opędzać. Bzyczą nad nami jak rój os. Niestety, opowieści o syberyjskich komarach nie są przesadzone. [...] Jesteśmy w miejscowości Gremiaczyńsk, na brzegach Bajkału. Przez ostatni tydzień, od Ust-Barguzin, pokonałmy dystans około 150 kilometrów. To największa wioska na półwyspie Święty Nos, który jest jednym z najważniejszych miejsc nad Bajkałem. Na tym etapie szliśmy zarówno drogą jak i wybrzeżem. Było różnie. Czasami wybrzeże było piaszczyste i kamieniste, ale zdarzały się też klify, które musieliśmy obchodzić. W ten sposób kończymy etap związany z Jeziorem Bajkał i powoli kierujemy się na Ulan-Ude, czyli do stolicy Buriacji. W ostatnich dniach przechodziliśmy przez cztery wioski, ale o dziwo trzy z nich to miejscowości wypoczynkowe. Trudno to sobie wyobrazić, ale w tej dzicz, w głębi Buriacji są prawdziwe kurorty, do których przyjeżdżają ludzie z Ulan-Ude. [...]

W relacji z tego tygodnia to właśnie chcielibyśmy podkreślić - wielką gościnność mieszkańców Syberii, a w szczególności Buriacji. W ogóle Rosjanie wszędzie

chętnie nas przyjmują i bardzo nam pomagają. Pod tym względem atmosfera naszej wędrówki jest zupełnie inna niż to, co spotkało p. Witolda i jego towarzyszy. To było dla nich największe zagrożenie - czy ludzie będą sprzymierzeńcami czy wrogami. My do tej pory nie spotkaliśmy się z żadnymi objawami wrogości. [...]

[...] wyruszyliśmy w kierunku Ulan-Ude. Część tego etapu przejdziemy, ale myślę, że część pokonamy autostopem. Nasza trasa prowadzi wzdłuż dość ruchliwej asfaltowej drogi. [...]

30 lipca 2010

Zakończenie etapu rosyjskiego

Udało nam się przedostać z brzegów Bajkału do Ulan-Ude, stolicy Buriacji. Kawalek musieliśmy podjechać autostopem, bo zależało nam na czasie. Chcieliśmy zdążyć na obchody polskiego Powstania Zabajkalskiego, które odbywają się we wsi Maksimicha. W Ulan-Ude jest bardzo prężnie działająca Polonia. Z tego co widzieliśmy do tej pory, to największy ośrodek Polonii na naszej drodze. Dzięki temu spotkaniu mamy dużo fajnych materiałów filmowych.

Ulan-Ude to największe miasto, przez które przechodziliśmy. Jego populacja wynosi prawie 400 tys. mieszkańców. To stolica Buriacji. Do kuriozów należy największy na świecie pomnik głowy Lenina. Razem z postumentem mierzy on 10 metrów. Jest to miasto typowo rosyjsko-syberyjskie. Panuje tu duży tłok i post-radziecka szarżyzna, a miasto tworzą głównie osiedla składające się z bloków. Z drugiej strony w Ulan-Ude panuje buriacka, bardzo gościnna i miła atmosfera. Chcemy powiedzieć, że wszelkie plotki o zagrożeniach w miastach syberyjskich są według nas przesadzone. Przebywamy obecnie w domu polonijnym „Nadzieja”, gdzie przyjęła nas serdecznie Pani Prezes, Maria Iwanowa.

W sobotę wybraliśmy się na obchody Powstania Zabajkalskiego, które wybuchło 12 lipca 1866 roku. Odwiedziliśmy wspomnianą wcześniej wieś Maksimicha, w której prawdopodobnie znajdują się mogiły powstańców. Zbudowano tam pomnik w formie krzyża, pod którym umieszczono stosowną tablicę informacyjną. Uroczystość odbyła się nad brzegami Bajkału. Wszystko miało miejsce na północno-zachód od Ulan-Ude. Trasa naszej ekspedycji przebiegała daleko od tego miejsca. Gdyby nie doniosła okazja, to byśmy tam nie dotarli. W obchodach brali udział m. in. przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP w Irkucku oraz przedstawiciele diecezji Kościoła Rzymskokatolickiego w Irkucku. Była to bardzo oficjalna uroczystość.

sto zdarzało nam się gościć u tych ludzi w domach, gdzie dostawialiśmy zarówno wymienione posiłki, jak i możliwość przemocowania.

Ostatnia część tego etapu wędrówki była dla nas szczególnie trudna, głównie przez bardzo wysokie temperatury. Od wczesnych godzin rannych było ponad 30 stopni, a my szliśmy przez otwarte tereny, bez żadnego cienia. Z tego powodu byliśmy w stanie pokonać tylko 25-35 kilometrów dziennie. Było to bardzo wyczerpujące. Dopiero wieczorem, gdzieś koło północy temperatura spadała do mniej więcej 20 stopni. [...]

Jesteśmy w Buriacji, więc często goszczą nas Buriaci. Co ciekawe nie są góralami i zamieszkują tylko na terenach równinnych. Buriaci, którzy usłyszeli, że przeszliśmy przez Góry Barguzińskie bardzo często aż łapali się za głowę. Oni chodzą najdalej kilka kilometrów w tajgę, bez zapuszczania się wyżej. W góry wchodzi i to bardzo rzadko jedynie myśliwi. [...] Olbrzymim problemem na tych terenach to bieda i pijaństwo.

Do tej pory nad Bajkałem było lato stułecia, a w Irkucku były dni gdy było 47 stopni Celsjusza. To najwyższe temperatury od kilkunastu lat. Niestety, pogoda się załamała i po fali upałów obecnie leje bez przerwy. Prognozy są fatalne, bo ma padać przez kilka kolejnych dni.

My jesteśmy obecnie nad Jeziorem Bajkał w okolicach miejscowości Ust-Barguzin. Jest to kilkutysięczna osada w delcie rzeki Barguzin. Rozstawiliśmy namiot na pięknej, odsłoniętej plaży. Siedzimy w namio-

Wzięliśmy w niej czynny udział – zostaliśmy poproszeni o wystąpienie. Zostaliśmy przedstawieni jako uczestnicy wyprawy, która podąża śladami Witolda Głińskiego. Okazało się, że Stowarzyszenie „Nadzieja”, jako pierwsze przełożyło na rosyjski powieść Rawicza „Długi Marsz”. Tekst przetłumaczył członek stowarzyszenia. Niesamowitą część opowieści stanowi fakt, że przekład zainspirował

Francuz, który wyruszył śladami Długiego Marszu. Jego opowieści o dziejach Głińskiego były bodźcem do przetłumaczenia książki. Niestety nie udało nam się spotkać z tłumaczem, który akurat wyjechał do

Polski na kurs języka polskiego. Przy okazji tego wydarzenia udzieliliśmy wywiadu dla telewizji buriackiej. [...]

W Ułan-Ude przeprowadziliśmy wywiad z szefową stowarzyszenia oraz z p. Wacławem Sokołowskim. Jest to osiemdziesięcioletni założyciel tego stowarzyszenia, tutejszy człowiek-legenda. Dowiedzieliśmy się, że w 1942 roku wraz z ekspedycją geologów przebył trasę równoległą do trasy Głińskiego. Miało to miejsce zimą i trasa wiodła przez te same tereny. Była to radziecka ekspedycja, której uczestnicy doświadczyli głodu, znoju i zimna. To właśnie Sokołowski bardzo naciskał na powstanie przekładu „Długiego Marszu”. Po swoich doświadczeniach jest pewien, że tego rodzaju ucieczka jest jak najbardziej możliwa. Przekład ukazał się w periodyku „Polacy w Buriacji”, na którego łamach opisywane są dzieje mieszkających tu Polaków. Książka została wydana w 350 egzemplarzach, więc jest to raczej edycja kolekcjonerska dla sympatyków stowarzyszenia. Otrzymaliśmy taką książkę z dedykacją. Ciekawe jest to, że wątek Głińskiego podczas naszej podróży przeżywa się cały czas. Zarówno w Jakucku, Olekmińsku jak i tutaj jego temat powraca. Trzeba jednak podkreślić, że tu mówi się głównie o książce Rawicza. Ta historia jest kojarzona z powieścią Rawicza, a nie z postacią Głińskiego. Byliśmy rzecznikami wersji, zgodnie z którą Rawicz ukradł czyjeś przeżycia. Nawiasem mówiąc nie byliśmy pierwsi, bo byli już inni, którzy też starali się przybliżyć historię Witolda Głińskiego tutejszym Polakom.

W Irkucku spotkaliśmy profesora historii Igora Antonowa, który specjalizuje się

w historii łagrow. Wiedział on o długim marszu i o bohaterskim Polaku, który go poprowadził. Co ciekawe, w Irkucku rozmawialiśmy z człowiekiem, który chciał nakręcić film fabularny o Długim Marszu. [...]

Pochodzenie tutejszej Polonii: Pani Prezes Iwanowa przyjechała tu dobrowolnie, po zapoznaniu się i wyjściu za mąż za Rosjanina z St. Petersburga. Większość pozostałych przedstawicieli Polonii, około 250 osób, to prawdopodobnie potomkowie XIX-wiecznych zesłańców. Wielu z nich słabo mówi po polsku. Ważną częścią działalności stowarzyszenia

jest prowadzenie kursów edukacyjnych w zakresie języka, historia i kultury Polski. W czasie pobytu w tej części Rosji odwiedziliśmy również Iwołgiński Dacan, położony 23 km od Ułan-Ude. Znajduje się tam siedziba czambo-lamy, zwierzchnika rosyjskiego buddyzmu. Warto wiedzieć, że Buriacja jest krajem buddyjskim. Sama świątynia jest obiektem ciekawym architektonicznie i turystycznie. Mało w niej atmosfery prawdziwej świątyni. Do dacanu w Ułan-Ude zabrał nas student, który pokonał z nami część naszej trasy. Zamówił dla nas modlitwę u lamy. Taka modlitwa trwa około 20 minut i polega m. in. na recytacji mantr. Ich celem było powodzenie naszej wyprawy. [...]

Jutro wyruszamy do Kiachty. Prawdopodobnie znowu skorzystamy z autostopu, bo ciągle się śpieszymy. Chcemy dotrzeć tam szybko, ponieważ tam również jest Polonia. To określenie trochę na wyrost, bo chodzi o dwie osoby, natomiast obie pojutrze wyjeżdżają na urlop i dlatego musimy się śpieszyć. Kiachta jest dla nas ciekawa również dlatego, że znajduje się tam najstarsze muzeum krajoznawcze Syberii ufundowane przez Polaka.

Dziś minął 75 dzień w Rosji. Jutro będziemy nocowali już po stronie mongolskiej. W miejscowości Bulgan czekają tam na nas konie. Od granicy dotrzemy tam samochodem. Za trzy lub cztery dni rozpoczniemy etap konny. W tej chwili jest u nas bardzo gorąco, około 40 stopni.

Najpopularniejszym sposobem gaszenia pragnienia jest tu picie kwasu chlebowego. Na ulicy można natrafić na beczki o pojemności kilkuset litrów. Po kwas ustawiają się długie kolejki. [...]

13 sierpnia 2010

Wkraczamy do Mongolii

Z Ułan-Ude wyruszyliśmy w kierunku przejścia granicznego między Rosją a Mongolią. Znajduje się ono w Kjachcie, bardzo ważnej miejscowości położonej na dawnym szlaku herbacianym, którym z Chin transportowano do Europy herbatę. Dzięki handlowi herbatą Kjachta była w XIX w. miastem bardzo zamożnym.

Dla Europejczyka granica rosyjsko-mongolska w Altanbulag może być bardzo egzotyczna. Granicę można przekroczyć wyłącznie pojazdem. [...]

Kraj Dżyngis Chana zaskoczył nas problemami z załatwieniem koni. Na zimę konie wypuszcza się tutaj na pastwiska i muszą sobie radzić same. Niestety ostatnia zima była surowsza niż zwykle. Konie w poszukiwaniu pożywienia nie były w stanie przebić się przez grubą warstwę śniegu i masowo padały z głodu. Straty w prowincjach, przez które wiedzie nasza trasa, są szacowane na prawie 10 milionów sztuk koni i bydła. [...]

Nasze konie są spokojne i świetnie się na nich jedzie. Dziennie pokonujemy około 10 kilometrów. Nie przekraczamy takiego dystansu, bo inaczej zwierzęta nadmiernie się męczą.

Jesteśmy zachwyceni tutejszą przyrodą i widokami. Mongolia wydaje się, jakby była z innej planety. To kraina bezkresnej przestrzeni. Niewielkie miasteczka oddalone są od siebie o kilkaset kilometrów. Asfalt skończył się dawno temu, jeszcze kilkanaście kilometrów za Ułan-Ude. [...] Ludzie są bardzo mili. Na każdym kroku zapraszają nas do swoich jurt i domów. Czujemy się tu bardzo bezpiecznie, nawet lepiej niż w Rosji. Mamy świetnego przewodnika, który opiekuje się również naszymi końmi – my moglibyśmy mieć z nimi problemy. [...]

Nieodłączną częścią powitania jest używanie tabaki. Przy wejściu do jurty gospodarze również natychmiast częstują tabaką. Natomiast herbata, bardzo różni się od napoju, jaki my kojarzymy z tą nazwą. Tutejsza herbata nazywa się süüteј cай. Serwuje się ją przy każdej okazji w nieograniczonych ilościach. Jest zaprawiona solą i masłem. [...]

13 sierpnia 2010

Świętujemy półmetek wyprawy w Bulgan

W Mongolii mieliśmy do tej pory bardzo ładną pogodę, dopiero dzisiaj zaczęło padać. Dotarliśmy w pobliże miasta Bulgan. Z naszych obliczeń wynika, że w ciągu ostatnich kilkunastu dni przemierzaliśmy dystans około 250 kilometrów. Praw-



Wyprawa do łagru w okolicy Olekmińska
<http://wyprawy.onet.pl/36722,gal,70077,0,8,ekspedycja.html>

dopodobnie niedługo będziemy musieli przesiąść się na rowery, bo nasze konie już są bardzo zmęczone, a wynajęcie nowych najprawdopodobniej się nie uda. Nie mieliśmy z nimi żadnych problemów, były bardzo przydatne i spisały się na medal. [...] W Mongolii mamy do pokonania jeszcze ok. 700 km, w większości przez bezdroża. Najważniejsze jest jednak to, że dzisiaj świętujemy połowę wyprawy.

Wczoraj mieliśmy okazję spróbować bardzo ciekawej miejscowej potrawy [...] . zaprzyjaźniona rodzina przywiozła pieczonego w całości bobaka. Jest to zwierzę spokrewnione ze świstakiem, tylko większe i bardziej tłuste. Pieczony bobak uchodzi tu za przysmak, a samo pieczenie polega na włożeniu rozgrzanych w ognisku kamieni do środka zwierzaka. Spotkaliśmy Mongołkę, która studiuje w Łodzi. Mieliśmy więc okazję porozmawiać z kimś płynnie, a nie na migi. [...]

Po uzupełnieniu zapasów i rozpoczęciu etapu rowerowego, udamy się do Charchorin, dawnej stolicy mongolskiego imperium Czyngis-chana. Przemierzamy ogromne stepy przed pustynią Gobi. Zakupy robiliśmy w Bulgan, jednym z największych miast w okolicy. Miasto ma około 10 tys. mieszkańców i jest stolicą prowincji. [...] Bartek przypominając sobie Mongolię sprzed 8 lat, zwraca uwagę na zmiany, które tu zaszły. Zresztą za czasów Gliškiego musiało być przecież jeszcze inaczej. Dziś jurty są zaopatrzone w panele słoneczne o rozmiarach ok. 1x1.4 m. Dzięki temu jest w nich prąd. Żarówki są na porządku dziennym, a ostatnio nawet telewizory. Przed jurtą zwykle zaparkowany jest motor albo samochód, a na dodatek każdy Mongoł ma w jurtce telefon komórkowy. Nowoczesność dotarła więc również na step.

26 sierpnia 2010

Przez stepy w kierunku Gobi

Przemierzamy Mongolię na rowerach. Pokonujemy dziennie około 70-80 kilometrów, chociaż raz przejechaliśmy nawet 110 kilometrów. Jesteśmy prawie w połowie terytorium Mongolii i zbliżamy się do pustyni Gobi. Wyjeżdżamy z zielonych stepów i powoli zagłębiamy się w krainę kamienistych pustkowi. [...] Przez cały czas porównujemy własne przeżycia z historią opisaną w „Długim Marszu”. Możemy również zestawiać nasze doświadczenia z opowieścią, którą usłyszeliśmy bezpośrednio od Gliškiego w czasie spotkania w Anglii. [...]

Po drodze odwiedziliśmy miasto Kharkhorin, znane także pod nazwą Karakorum,

gdzie w XIII w. znajdowała się stolica imperium mongolskiego. Na nas większe wrażenie niż ślady odległej przeszłości zrobił klasztor Erdene Dzuu, największy i najważniejszy w Mongolii. Obecnie symbolizuje on jedno z najtragiczniejszych wydarzeń w historii tego kraju czyli komunistyczne czystki religijne, większe niż w ZSRR. Zburzono wtedy setki klasztorów, a dziesiątki tysięcy mnichów zamordowano lub zesłano do syberyjskich łagrów. W Erdene Dzuu przetrwało do dziś tylko trzy świątynie, a po niezliczonych innych zostało do dziś otoczone murami rumowisko, wymowny znak totalitarnej nienawiści.

Z eksploracją Mongolii związanych jest kilku naszych wybitnych rodaków. Jedną z najważniejszych polskich postaci w historii Mongolii był Ferdynand Antoni Ossendowski. Był on podróżnikiem, działaczem politycznym, pisarzem oraz naukowcem, prawdziwym człowiekiem renesansu. Ossendowski znalazł się w Mongolii w latach 20'tych, w środku zawirowań wojennych. Był to okres starć między armią bolszewicką i armią Białych. Ważną w tamtych czasach postacią był również baron Ungern von Sternberg, rosyjski generał pochodzący z rodziny bałtyckich Niemców, dowódca Białej Gwardii na Dalekim Wschodzie, zwany również Krwawym Baronem. Baron ogłosił się ostatnim wielkim chanem Mongołów. Ossendowski był zesłany do Mongolii i opisał historię Ungerna tworząc swoje najbardziej znane dzieło pt. „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów”. Powieść została przetłumaczona na 19 języków i do dziś stanowi jedną z najważniejszych lektur o Mongolii.

Inny Polak, Kamil Giżycki, był z Krwawym Baronem jeszcze bliżej, był bowiem jego adiutantem. Do dziś najwięcej emocji w tej historii budzi skarb barona Ungerna. Otóż w czasie wojny zaginęła kasa pancerna barona z zawartością ocenianą na miliony, miliony dolarów.[...]

Dziś w Mongolii też jest wiele polskich akcentów, chociaż w zupełnie innej sferze. W każdym sklepie znajdujemy mnóstwo polskich produktów, głównie spożywczych. [...] Wracając do spraw związanych z podróżą: jest tu bardzo niewiele dróg asfalto-

wych. Większość pozostałych to drogi szutrowe, żwirowe, a czasem nawet bagniste ścieżki. Tylko nieliczne są zaznaczone na mapie. [...]

1 września 2010

Przez Gobi do Chin

Od naszej ostatniej relacji przemierzaliśmy kilkaset kilometrów pustyni Gobi. Jest to wyjątkowo nieprzyjazne terytorium. O ile w zeszłym tygodniu podkreślaliśmy, że stepy to odpoczynek po Syberii, to pustynia dała nam się mocno we znaki. Można przejechać tu dziesiątki kilometrów, nie spotykając żywego ducha.

Na początku nie było tak źle, bo była twarda droga. Później zamieniła się w piaszczystą i podmokłą ścieżkę. Bardziej pchaliśmy rowery, niż na nich jechaliśmy. W panujących tu warunkach organizm bardzo się odwadnia. Jest taki upał, że mimo picia dużych ilości wody pragnienie nie ustępuje. Tak jak mówił Gliški, najgorsze jest tutaj to niezaspokojone i męczące pragnienie. [...] Do wody wrzucamy pastylki z minerałami i witaminami. Większe zapasy jadą w samochodzie, który nas eskortuje. Przydarzyły nam się krwotoki z nosa i od upału mamy nieustannie popękane wargi. Dodatkowy problem to wielkie ilości pyłu.

Minęliśmy ogromne wydmy, które nazywają się Khongoryn Els. Jest to piaszczyste pasmo, ciągnące się przez kilkadziesiąt kilometrów. Potwierdzamy opinię Witolda Gliškiego, w którego wspomnieniach ta okolica zapisała się jako najbardziej niegościnna. Co

innego należy powiedzieć o ludziach. W małych miasteczkach, które odwiedzaliśmy, spotkaliśmy bardzo miłych i pomocnych Mongołów. [...] Wychodzi na to, że im bardziej surowe terytorium, tym bardziej

gościnni są na nim ludzie. Pomimo tych warunków, udawało nam się pokonać około 90 kilometrów dziennie - oczywiście jadąc od świtu do zmierzchu. [...] Drogi są tutaj bardzo specyficzne. Są to tak naprawdę mocno wyjeżdżone przez samochody i motocykle trakty. Ich powierzchnia to istna tarka. [...] Przy wysokiej temperaturze dwanaście godzin jazdy na rowerze stają



Mongolia – Gobi
<http://wyprawy.onet.pl/36722,rel,2224600,ekspedycja.html>



Góry Barguzińskie - Przygotowania do przeprawy
<http://wyprawy.onet.pl/36722/gal,70078,0,6,ekspedycja.html>



<http://askyakutia.com/2010/06/long-walk-plus-expedition-up-lenariver-from-yakutsk-to-ustkut-calcutta/>

się w takich warunkach katorżniczą pracą. Nie ma tu też absolutnie żadnych punktów odniesienia. Setkami kilometrów ciągną się równiny, gdzieś daleko majaczą jakieś góry i bardzo łatwo się pogubić. [...] Przez osiemset kilometrów naszej drogi na rowerach widzieliśmy jeden drogowy znak, który akurat wskazywał rozwidlenie dróg. Nawigujemy trochę na wyczucie i pytając o wskazówki napotkanych ludzi. GPS też na niewiele się przydaje. Nie można przenieść tego co pokazuje na rzeczywiste otoczenie. W sumie najlepsza okazała się metoda Glińskiego: trzeba pilnować, żeby budząc się mieć wschodzące słońce na wschodzie, a kładąc się spać mieć je na zachodzie. [...]

Na Gobi ciekawostką jest największe „cementarzysko” dinozaurów na świecie. I nawiąsem mówiąc polskie ekspedycje paleontologiczne w latach 70-tych miały wielki wkład w tutejsze wykopaliska. Mongołowie poruszają się najczęściej samochodami, ale znacznie wygodniejsze są motocykle. Rzadko zdarzają się tutaj konie, a to z powodu braku pożywienia. Zdarzają się też dwugarbnych wielbłądów. [...]

W ciągu dnia upał jest nie do zniesienia, czyli 40 stopni w cieniu. Natomiast w nocy jest około 20 stopni Celsjusza i całkiem przyjemnie. Staramy się uważać na wodę, bo jest tu dużo jej często jest zanieczyszczona.

Mieliśmy przekroczyć granicę mongolsko-chińską przez przejście w miejscowości Shiveehuren. Było to od początku mało prawdopodobne, bo jest to przejście zamknięte dla obcokrajowców. Okazało się jednak, że burze piaskowe zasypały wszystkie drogi do tego przejścia i dystans sto kilometrów od granicy jest nie do przebycia. Mongołowie ostrzegali nas, że jeżeli się tam zapuścimy i nie zostaniemy przepuszczeni, to nie będzie żadnych szans na powrót. Nic nie jest w stanie tam dojechać

i nie ma stamtąd żadnego transportu. Musimy więc skorzystać z planu awaryjnego. Będziemy musieli więc przejść granicę w Erenhot. To było od początku wyjście awaryjne, bo wiąże się z bardzo długim objazdem. Teraz ładujemy rzeczy do busa i musimy przedostać się prawie tysiąc kilometrów na wschód. Po przekroczeniu granicy, wrócimy na szlak wędrówki Witolda Glińskiego. Nie dało się tego uniknąć, bo powody tego objazdu są niezależne od nas. Nie możemy też do granicy dojechać koleją, bo jedyna linia kolejowa prowadzi z Ułan Bator do Pekinu.

Śmieszne jest to, że mieliśmy nagrać dzisiaj film, ale w całej stolicy prowincji i jej okolicy (czyli jakieś pół Polski), nie było ani jednej nagrywarki do płyt CD. Po dojechaniu do granicy wsiadamy od razu na rowery, tak, żeby samą granicę już przekroczyć na rowerze. Następnie będziemy wracali na Gobi po stronie chińskiej.[...]

7 września 2010

Czy na Gobi rosły melony?

Ostatni tydzień miał charakter nieco techniczny. Musieliśmy objechać granicę do przejścia międzynarodowego w Erenhot. Okazało się to o wiele trudniejsze, niż się spodziewaliśmy. Przejechanie 800 kilometrów zajęło nam 5 dni, a jechaliśmy samochodem. Takie są realia podróży po mongolskich drogach, a raczej bezdrożach. [...]

Lada chwila wyruszamy na rowerach w kierunku Tybetu. Czekamy tylko na resztę bagaży, które jechały innym składem. Będziemy się poruszali po Jedwabnym Szlaku, na którym Jiayugan było ważnym ośrodkiem. Znajdujemy się pomiędzy gorącymi piaskami pustyni a przedgórzami Qilian Shan. Z jednej strony mamy 40 stopni i pustkowia, a z drugiej zaśnieżone szczyty o wysokości ponad 5000 metrów.

Natomiast atmosfera jest tutaj świetna.

Chińczycy są bardzo sympatyczni. My jesteśmy dla nich dużą atrakcją, bo przejeżdżamy przez miasta nieturystyczne. Miejscowi próbują z nami coś zagadać i robią nam zdjęcia. [...]

Miedzy Mongolią a Chinami jest właściwie przepaść cywilizacyjna. W Mongolii dojeżdża się na granicy do małego miasteczka rodem z dzikiego zachodu. Po przekroczeniu granicy znajdujemy się w tętniącym życiem mieście, w którym jest normalna infrastruktura i asfaltowe drogi. Jest tu sygnalizacja świetlna i idealny porządek. Chiny są bardzo rozwinięte - miasta są nowoczesne i w naszej skali ogromne. [...] W Chińskich miastach jest mnóstwo restauracji i knajp, co w Mongolii praktycznie w ogóle nie ma miejsca. O godzinie 6 rano ludzie wybierają się na główne place miast i ćwiczą. Są ogólnodostępne siłownie, gdzie wszyscy, również starsi, uprawiają sport. Wszyscy są tutaj w doskonałej formie fizycznej.

Cały czas porównujemy swoje przeżycia i treść książki Rawicza. Tajgę i Syberię odbieramy tak samo i mamy bardzo podobne odczucia. Wiemy też, że Gliński musiał uciekać z okolic miast przy rzece Witim i potem wzdłuż tej rzeki. Wiemy to dlatego, że tutaj jest najbardziej naturalny szlak wiodący na południe. Tylko dlatego przejście tej trasy było możliwe. Musiał też iść później bardziej na południowy-wschód, bo inaczej schodziłby na południe przez Chiny, mijając Mongolię. Idąc tak, jak podejrzewamy, uciekinierzy dotarli nad Bajkał. Rawicz trafnie opisał okolice Bajkału i trasę, która tamtędy wiedzie.

Jest dla nas również jasne, że Rawicz nieco podkoloryzował opowieść Glińskiego, jeśli chodzi o Mongolię i tamtejsze okolice, ale trochę go poniosła fantazja literacka. Musimy się zastanowić nad opisem rzeki Barguzin, bo w książce bohaterowie przekraczają ją trzykrotnie, a sama rzeka wpływa prostopadle do Bajkału. Bargu-

zin płynie jednak wzdłuż Bajkału, ale nad tym jeszcze pomyślmy. Rawicz pisał też na przykład, że w Mongolii są domy o płaskich dachach, nie wspominając przy tym nawet słowa o jurtach. Uważamy to za kompletne nieporozumienie, szczególnie, że tu prawie nie ma domów i są niemalże wyłącznie jurtki.

O Gobi Rawicz pisze, że tygodniami trzeba było przedzierać się przez piaszczyste wydmy. Ale na Gobi prawie nie ma wydym. Przechodziliśmy przez wydmy, ale to tylko kilkanaście kilometrów naszej trasy. Wydmy występują tu punktowo. Podejrzewamy, że Gliński w swoim raporcie coś wspominał o wydmach, a Rawicz to rozbudował, tworząc z Gobi wielką piaszczystą pustynię. Podłoże jest tutaj piaszczyste, ale też bardzo żwirowe, przez co grzęzły nam rowery.

Naszym zdaniem przejście Gobi to niebagatelne wyzwanie i rzecz prawie niemożliwa. Ilość wody, która jest tutaj potrzebna i olbrzymi wysiłek są niewyobrażalne. Myślmy więc, że Gliński przebył najwyższy i najbardziej wysunięty na zachód skrawek pustyni. To by się również zgadzało z książką, w której uciekinierzy uznali pasmo górskie, które zobaczyli, za Himalaje. Naszym zdaniem widzieli po prostu pasmo Qilian Shan, u podnóża którego się w tej chwili znajdujemy. Natomiast pustynia na wschodzie jest po prostu nie do przebycia bez zapasów wody.

Rawicz opisywał również rolnictwo w Mongolii, a rolnictwo tam praktycznie nie istnieje. Gospodarka opiera się tam na hodowli, głównie owiec i kóz. W książce jest mowa o tym, jak uciekinierzy pokazywali Mongołom lepsze sposoby młócenia ziarna. Kłopot w tym, że nie ma tu żadnych obsianych zbożem pól, dieta jest mleczno-mięsna, o czym z kolei Rawicz w ogóle nie wspomina. Pisał też, że bohaterowie książki wchodząc do Mongolii natrafili na pasmo górskie Chentej. Byliśmy w tej okolicy i wiemy, że składa się z bardzo wysokich gór - najwyższy szczyt Dżałuczud osiąga wysokość 2751 m n.p.m. W takim razie przejście grupy przez te góry jest mało prawdopodobne.

Wygłąda na to, że raport Glińskiego był dla Rawicza podstawą jego opowieści, ale jest tam zbyt wiele luk, żeby uznać, że przeszedł on tą trasę osobiście. Połączył to, co z niego zapamiętał ze swoją wiedzą, dlatego znalazło się tam kilka nieścisłości. Pojawiają się np. takie błędy jak opowieść, że Chińczycy spławiają to-

wary rzeką. To niemożliwe z historycznego punktu widzenia, bo Chińczyków tam wtedy nie było. Zostali wygnani w roku 1920 po utworzeniu niepodległej Mongolii. Chin są traktowane tak, jak zasługuje na to były okupant. Poza tym rzek jest tu niewiele, a te, które są nie nadają się do transportu towarów, a już na pewno nie spławiano nimi dostaw melonów, bo skąd by się tutaj wzięły? Niemniej wszystkie te informacje znajdujemy u Rawicza. [...]

15 września 2010

Prorocze wizje Rawicza

Mamy za sobą 500 km w Chinach. Zmierzamy w kierunku Golmudu, gdzie jest granica z Tybetem. Mielśmy cały czas wiatr w twarz, co było piekielnie uciążliwe. Na dodatek walczyliśmy z pyłem z wykopów przy pracach drogowych i okolicznych piasków.

Pustynia Gobi po stronie chińskiej jest zupełnie inna niż w Mongolii, głównie z powodu stopnia w jakim jest zagospodarowana. To niesamowite, ale są tu miasta, często całkiem duże. Jest o wiele lepsza infrastruktura drogowa. Mamy do dyspozycji tylko autostrady, właściwie trudno jest znaleźć jakieś mniejsze boczne drogi. Ale na szczęście szerokie pobocza umożliwiają nam korzystanie z nich. Bardzo widowiskowe jest to, że Chińczycy wykorzystują pustynię do produkowania energii - są tu setki, jeśli nie tysiące wiatraków. [...] W restauracjach menu jest zawsze po chińsku, więc zamawiamy posiłki w ciemno, a później czekamy z zaciekawieniem co dostaniemy. Nie mieliśmy większych wpadek. Jesteśmy bardzo zadowoleni z tego, co tutaj dostajemy do jedzenia. Z ciekawszych dań dostaliśmy raz zupę, na którą składały się wrzątek, ścięte jajko i kilka łyżek cukru, a kiedy indziej bułki drożdżowe o smaku ryby.[...] Z drugiej strony odkąd jesteśmy w Chinach, ani razu nie spaliśmy w namiocie. Jest tutaj bardzo ciepło. Nie pada tu deszcz, co noc śpimy pod gwiazdami, zazwyczaj przy drodze, np. pod wiaduktem albo w jakimś tunelu. Dzisiaj śpimy w sąsiedztwie budowy. Kilka metrów od nas stoją maszyny drogowe, jakieś koparki, dźwigi i inne urządzenia. [...]

W Chinach robota wre właściwie wszędzie. Mijaliśmy niedawno słynny Chiński Mur, a raczej jego początek. Była tam świetnie zachowana twierdza, która stanowi wielką atrakcję turystyczną. Natomiast koło Dunhuang, czyli miasta, z którego dzisiaj wyjechaliśmy, są niezwykle jaskinie. Nazywają się Magao i od VII/VIII wieku istniały w nich świątynie buddyjskie. W bardzo dobrym stanie zachowały się tam rysunki naskalne i wiele ciekawych

eksponatów, np. pierwsza na świecie drukowana książka z X wieku. Wszystko mieści się w muzeach wykutych w skale, które otacza pustynia. Oprócz tego w Gansu, czyli w prowincji, w której jesteśmy, znajduje się chiński kosmodrom.

To prawdopodobnie nasz ostatni dzień na pustyni. Przed nami przełęcz o wysokości 1000 metrów n.p.m., a za nią rozciąga się już historyczny obszar Tybetu. Rozstajemy się z pustynią. Dunhuang jest właśnie takim ostatnim pustynnym przystankiem na naszej trasie, bramą do Tybetu. Nazywano je kiedyś miastem piasków, ponieważ rozciągają się wokół niego wielkie wydmy, które osiągały ponoć do 1700 metrów wysokości. Przez te tereny przebiegał w przeszłości Jedwabny Szlak.

Na zakończenie chcemy podkreślić, że jest tutaj bardzo bezpiecznie. Nie mieliśmy żadnych problemów. Złapaliśmy dopiero jedną gumę, więc sprzęt spisuje się na medal. [...]

22 września 2010

Ile węgla potrzebuje chińska jednostka w Tybecie?

Mamy za sobą tydzień pełen przygód. W Chinach przejechaliśmy już ponad 1000 kilometrów. Natomiast na rowerach, łącznie z Mongolią, prawie 2000 kilometrów. Do Lhasy mamy jakieś 1100 kilometrów. Powinno nam to zająć jakieś 14 dni.

W tym momencie wjeżdżamy na płaskowyż tybetański. Przez ostatni tydzień podróżowaliśmy przez obszar prowincji Qinghai. Historycznie było to terytorium Tybetu, dość góryste i miejscami pustynne. Największym wyzwaniem było tu pokonanie przełęczy pomiędzy górami Ałtyn-Tag i Qilian Shan. Musieliśmy się wspiąć na wysokość ok. 2600 metrów, z czego 1500 metrów zrobiliśmy jednego dnia. [...] Mielśmy też pierwsze przygody w wysokościach. Na 3000 tysiącach metrów pojawiają się problemy z tlenem. Trudniej się oddycha i jest gorzej ze snem. Na szczęście można się do tego przyzwyczaić. [...] Zbyt mały dopływ tlenu do mózgu może zakończyć się tragicznie. Musimy więc bardzo uważnie obserwować, czy nie pojawiają się oznaki choroby wysokościowej. Jeżeli pojawi się problem, będziemy musieli albo zejść niżej albo zostać na jednej wysokości i czekać na aklimatyzację. Wysokość jest teraz dla nas największym wyzwaniem.

W pustynnej kotlinie Caidamskiej dopadła nas burza piaskowa. To bardzo dziwne zjawisko - drobny piach wciska się dosłownie wszędzie. Nie da się temu zapobiec. Nam udało się schronić na stacji benzynowej, która jest jeszcze w budowie. Tam

spędziliśmy noc i przeczekaliśmy burzę. Zaskoczyło nas zagrożenie, jakim są psy pasterskie, czasem bardzo agresywne. Raz zaatakowały nas dwa takie bydłeta. Na szczęście byliśmy na zjeździe, więc udało nam się uciec, chociaż nawet przy prędkości 40km/h nie byliśmy dość daleko od nich. Udało się je odpędzić dopiero kamieniami.

Mieliśmy też do czynienia z ekstremalnymi temperaturami. Na przełęczy nocą był mróz, a po wjeździe na pustynię mieliśmy na termometrze 52 stopnie! W takim upale wydaje się, że skóra płonie żywym ogniem. [...]

Na zjazdach udaje nam się rozpędzić nawet do 70 kilometrów na godzinę, ale z kolei na podjazdach nie jesteśmy w stanie jechać szybciej jak 4 kilometry na godzinę, niemalże pchając rowery. [...]

W tych dniach wkraczamy w głąb historycznego terytorium Tybetu. Świadczy o tym między innymi obecność ogromnej ilości wojska, policji i zmilitaryzowanych szkół różnych służb. [...]

27 września 2010

Spaleni słońcem w Tybecie

Pozdrawiamy z płaskowyżu tybetańskiego, z wysokości ponad 4700 metrów. To naprawdę wysoko. [...] Pokonaliśmy dwie przełęcze, w tym jedną na wysokości 5000 metrów. Jazda tu na rowerze jest tu bardzo trudna. Znacznie trudniej się oddycha. Dodatkowo, na tej części płaskowyżu są wyjątkowo silne, porywiste wiatry. [...] Ciekawie przedstawia się też sprawa tu-tejszych władz. Otóż nie do końca można tu legalnie podróżować turystycznie. To jest jednak teoria. My nie mieliśmy żadnego problemu. Co więcej, władze nam raczej pomagają. Warto wspomnieć, że to policjanci ugościli nas w tej chatce, w której dziś spędzamy noc. Zostawili nam nawet tlen. [...] Tłenu jest tu tak mało, że nawet trudno się mówi. Trzeba bardzo często wciągać powietrze, bo jest pojawia się uczucie, jak gdyby w ogóle nie było powietrza w płucach. Robotnicy, których tu spotykamy, mają w bazach butle z tlenem. Zawsze przed snem muszą sobie zaaplikować odpowiednią dawkę, żeby dotlenić mózg. Po drodze widzieliśmy też takie porzucone puste pojemniki po tlenie, co jest dowodem na to, że tutaj to naprawdę duży problem. Tym bardziej, że robotnicy pracują powyżej 5000 metrów n.p.m., więc są bardziej narażeni na chorobę wysokościową niż my. Niemniej dokuczliwe jest połączenie ostrego wiatru i słońca. Jedziemy cały czas w okularach lodowcowych, które są bardzo przyciemnione. Promieniowanie słoneczne jest tu na tyle intensywne, że nawet przy zachmurzeniu nie da się wytrzymać bez okularów. Suchy wiatr powoduje też ciągły kaszel, ale jakoś dajemy radę.

Z naszej rozmowy z Glińskim wynika, że nasza sytuacja jest zupełnie inna. Jemu pomagali tutaj tybetańscy nomadzi, nas goszczą chińscy robotnicy budowlani. Dziś mimo, że jesteśmy na pustkowiu, mamy tu asfaltową drogę i elektryczność. Wygląda na to, że kolektywizacja po rewolucji kulturalnej wymiotła stąd nomadów. Nie mamy więc okazji spotkać koczowników z opowieści Glińskiego. Natomiast droga jest tutaj dużo łatwiejsza do przebycia, niż pustynia Gobi, ponieważ mamy stale dostęp do wody. [...]

11 października 2010

Wiatr w oczy i spotkanie z chińską armią

Jesteśmy 80 kilometrów przed Lhasą. Właśnie pokonaliśmy najdłuższy dystans etapu rowerowego – 152 kilometry! Zajęło nam to ponad 13 godzin. [...] Etap przez Wyżynę Tybetańską polegał więc na całodziennym walce z wiatrem we wszystkich jego nieprzyjaznych odmianach. Czasami jechaliśmy najwyżej 6-7 km/h, co jest tak naprawdę tempem marszu, a przecież jedziemy na rowerach niezłymi, utwardzonymi szlakami. Po dzisiejszym etapie widać, jak bardzo sam wiatr hamuje nasze postępy – poruszamy się mniej więcej cztery razy wolniej. [...] Krótko mówiąc, Tybet dał nam mocno w kość. Śmieszne jest to, że gdyby wiatr wiał z drugiej strony, to kończylibyśmy już pewnie ekspedycję. Widzieliśmy rowerzystów jadących w przeciwnym kierunku. Poruszał się błyskawicznie. [...] Warto też wspomnieć o buddyjskich pielgrzymach, wędrujących do Lhasy. Spotkaliśmy pierwszych jakieś dwa dni temu. Od innych pielgrzymów na świecie odróżnia ich sposób, w jaki się poruszają. Co trzy kroki, cały czas recytując mantry, pielgrzymi wykonują pełen pokłon, czyli dosłownie kładą się całą długością ciała na ziemi z rękami wyciągniętymi w kierunku marszu. Ich dłonie są zabezpieczone specjalnymi ochraniaczami, czasami po prostu z kawałków opony, a kolana i klatkę piersiową chroni przed kamieniami coś w rodzaju fartucha. Są w stanie pokonywać kilkanaście kilometrów dziennie, a ich pielgrzymki trwają nawet kilkanaście miesięcy. Wierzą, że taka praktyka oczyszcza ich ciało, mowę i umysł. [...]

Poza tym Tybetańczycy poruszają się głównie na motocyklach obwieszonych najprzeróżniejszymi ozdobami. Siedzenia wyłożone są kolorowymi dywanikami z mnóstwem frędzli, znaczków i światełek. Głównym elementem wyposażenia są jednak odtwarzacze ze wzmacniaczami, z których nieustannie rozbrzmiewa głośna muzyka. Co ciekawe nie używają ani taśm ani płyt – muzyka jest zapisana na kartach SDS albo na urządzeniach USB.

Dla nas natomiast hitem ostatnich dni jest wizyta w wojskowym ambulatorium. Trafiliśmy tam przypadkiem, bo placówka przylegała do bazy robotników. Wojskowy lekarz dokładnie nas przebadał, sprawdzając czy mamy chorobę wysokościową. Przepisał nam kilka leków, a noc spędziliśmy w izolatce medycznej. Przed snem podano nam tlen – podobnie jak robotnikom. Spotkani przez nas przedstawiciele chińskiej armii najwyraźniej bardzo się starają, żeby nasza podróż do Lhasy przebiegała bezpiecznie. [...]

13 października 2010

Ze stolicy Dalajlamów wyruszamy w Himalaje

Po pokonaniu północnej części Płaskowyżu Tybetańskiego dotarliśmy do stolicy Tybetu, Lhasy. Był to zdecydowanie najtrudniejszy etap naszej wędrówki, głównie z powodu porywistego wiatru i tym samym dużego wysiłku na wysokościach przekraczających często 5000 n.p.m. Dopiero w Lhasie mogliśmy się zregenerować. Odpoczywaliśmy przez trzy dni.

Witold Gliński nie miał takiej możliwości, a przedarcie się przez Tybet to potworny wysiłek. Jesteśmy prawie pewni, że podróżował podobną trasą do naszej. Ten etap był szczególnie trudny z uwagi na warunki atmosferyczne. W nocy temperatura bardzo często spada poniżej zera, ale w ciągu dnia też jest zimno. Trudno nam sobie wyobrazić, jaki to musiał być wysiłek dla grupy, która pokonała pieszo również Syberię i Gobi.

W książce Rawicza znajdują się opisy wspinaczek. My do tej pory nie trafiliśmy na odcinek wymagający technik wspinaczkowych. Wszystkie te góry można przemierzać po prostu na piechotę, a schodzenie z dostępnych szlaków musi być skrajnie niebezpieczne. Jak pamiętamy, wg Rawicza uciekinierzy posługiwali się w czasie rzekomych wspinaczek narzędziami wykonanymi z drutu znalezionej i oczyszczonego z rdzy w oazie na środku Gobi. Ech, poniosła go fantazja!

Tak czy owak, Lhasę mamy za sobą, natomiast uciekinierzy jej nie odwiedzili, ani w rzeczywistości, ani w książce. Stolica Tybetu, licząca sobie ok. 120 tys. mieszkańców, okazała się miastem bardzo rozległym, ponieważ są tu tylko parterowe budynki. Klimat jest bardzo przyjemny – mogliśmy chodzić w krótkim rękawku. Co jednak najważniejsze, po naszych wcześniejszych przygodach wydaje nam się, że jest tu niemal bezwietrznie. [...]

Jedziemy tzw. „Friendship Highway”, prowadzącą do Katmandu. Przed nami tereny gęsto zaludnione, co będzie dla nas wielką odmianą, bo wcześniej mijaliśmy tylko pustkowia, gdzie w ogóle nie było ludzi. Dla uciekinierów musiało to być ogromne

utrudnienie. Nie mieli przecież ze sobą żadnych zapasów, więc mogli liczyć głównie na pomoc tubylców. [...]

Za Lhasą pokonaliśmy przełęcz Kampa-la, na wysokości 4800 m n. p. m. Podjazdy były strome, więc droga okazała się znów wycieńczająca. Ciągłe rozmawiamy o tym, że dla uciekinierów musiał to być tym większy wysiłek. Zbliżamy się do Himalajów. Najbliższe kilkaset kilometrów to tak naprawdę ostatnia wielka przeszkoda na trasie do Indii. [...] gościnność Tybetańczyków jest naprawdę niezwykła. Mało jest miejsc tak gościnnych. Ludzie są tu nawet bardziej życzliwi, niż Buriaci. W ciągu dziesięciu minut mieliśmy dwie oferty na nocleg. [...]

Będą ciągle w drodze, trudno nie wyrobić sobie opinii na temat kultury jazdy w Tybecie. Bartek sądzi, że panuje tu „dzi-ki zachód”. Hamulec zastępowany jest klaksonem. Kierowcy wyprzedzają się na czwartego i piątego, a parkuje się gdzie popadnie.[...]

18 października 2010

W drodze do Katmandu

W tym tygodniu nadajemy z Himalajów. W drodze do Nepalu przeprawiliśmy się przez dwie przełęcze. Do granicy zostało nam kilkadziesiąt kilometrów, od Katmandu dzielą nas dwa dni podróży trasą „Friendship Highway”. Już wcześniej o niej wspominaliśmy. Wiedzie ona do Katmandu przez podnóża Himalajów. Musieliśmy na niej pokonać kilka przełęczy, czyli wielokrotnie podjeżdżać duże kawałki pod górę. Cały czas towarzyszy nam też ostry wiatr.

Dla Witolda Glińskiego i jego towarzyszy to też musiał być trudny odcinek. Szczególnie to podchodzenie pod górę. Z drugiej strony widzimy, jak bardzo Rawicz mijał się z rzeczywistością w swojej książce. Najwyraźniej widać to w opisach wąskich ścieżek w wysokich partiach gór oraz wspinaczek alpinistycznych. Fakty są takie, że tu chodzi się głównie przełęczami. Te drogi nie zmieniły się od wieków, więc na pewno za czasów Glińskiego też tak było. Trasa nie wymaga wyczynów alpinistycznych, aczkolwiek przy niskiej temperaturze i opadach śniegu jest bardzo trudna, a w takich właśnie warunkach szedł tędy Gliński. W każdym razie kolejny tydzień naszej wyprawy potwierdza, że nie ma tu potrzeby sięgać po liny i czełki.

Uciekinierów na pewno motywowała myśl, że już za Himalajami czeka na nich wolność, a dom i powrót do rodziny będą po raz pierwszy w ich zasięgu. Trzeba jednak podkreślić, że to, co widzimy dzisiaj,

znacznie różni się od świata w czasach Witolda Glińskiego. Również dlatego, że teraz jest tutaj mnóstwo turystów. [...] Jesteśmy już 150 dni w drodze. Od początku wyprawy minęło już 5 miesięcy. Na rowerach przejechaliśmy już 4000 kilometrów, a łącznie wg naszych obliczeń 7000 kilometrów, a więc więcej, niż zakładaliśmy w planach podróży. Na zjazdach temperatura często spada poniżej 0, więc nadal jest niełatwo. Jesteśmy obecnie na wysokości 4000 metrów n. p. m., ale niebawem znajdziemy się 3000 metrów niżej. [...]

Nasza trasa różni się od książkowej. Uciekinierzy przekraczają tam granicę między Chinami a Indiami. My musimy przejść przez Nepal. Myślimy jednak, że sam Gliński szedł naszą trasą albo podobną do naszej. Dla nas przejście do Indii prosto z Chin jest tak czy owak niemożliwe, bo stosunki między nimi są napięte, a przejście jest zamknięte. [...]

28 października 2010

Popas w Katmandu

Przez kilka dni odpoczywaliśmy w Katmandu. Dawno nie mieliśmy okazji cieszyć się cywilizacją. Będziemy tu do momentu odbioru wiz indyjskich.

Udało nam się pokonać Wyżynę Tybetańską. Ostatni fragment trasy był niesamo-

wity, bo zjechaliśmy z 5250 metrów do 400 metrów n.p.m. Z pustynnego płaskowyżu otoczonego śnieżnymi szczytami trafiliśmy w las tropikalny. Tak mniej więcej wyglądają Himalaje po stronie Nepalu. Wszystko tu bardzo intensywnie pachnie. Dopiero teraz zauważyliśmy, że wcześniej nie docierały do nas żadne zapachy! Jest tu również o wiele więcej ludzi - to jeszcze nie są Indie, ale już jest dosyć tłoczno.

Po zmaganiach z warunkami w Tybecie, tu zatrzymała nas biurokracja. Okazało się, że jest kłopot z wizami. Nie mogliśmy o nie wystąpić w Polsce, bo dowiedzieliśmy się, że Indie nie udzielają wiz na tak długi okres, natomiast tutaj musieliśmy czekać kilka dni. Ale dzięki temu poznajemy Katmandu od podszewki. To zwariowane miasto. Ciągłe mają tu miejsce jakieś awantury, a w nocy kwitnie bujne życie towarzyskie. [...]

Jesteśmy przekonani, że trasa ucieczki musiała prowadzić przez Nepal, a nie bezpośrednio z Chin do Indii, jak napisał Rawicz. To bardziej prawdopodobne choćby z tego powodu, że o wiele łatwiej jest przełęczami trafić na Nepal. Gliński zresztą wspomina Gurków, czyli żołnierzy najemnych pochodzących z Nepalu.

Do przejechania pozostało nam jakieś 900 kilometrów. Sądzimy, że zajmie nam to mniej więcej 10 dni. [...]

Komiksową relację z wyprawy publikował Dziennik Łódzki



Naszej relacji z wyprawy Long Walk Plus Expedition patronują: Dziennik Łódzki, Narodowe Centrum Kultury, Łódzka Specjalna Strefa Ekonomiczna, Międzynarodowy Festiwal Komiksu i Gier w Łodzi i Łódzki Dom Kultury.

Czat z uczestnikami wyprawy Long Walk Plus Expedition 15 listopada 2010 (fragmenty)

~seba25: Czy mieliście jakieś problemy ze sprzętem chodzi między innymi o rowery i jak się z nimi uporaliście?

Long Walk Plus Expedition: W rowerach pękły nam elementy ramy. Musieliśmy szybko szukać spawacza w Chinach i Nepalu. Duża ilość sprzętu w górach Bargużyńskich, nad Bajkałem, uległa zniszczeniu. Jeden z rowerów naprawialiśmy za pomocą: sznurka, taśmy klejącej i pręta zbrojeniowego, to zdarzyło się w Nepalu, gdzie ciężko było o zakład spawalniczy. Tomek: 150 km po bezdrożach przejechałem na rowerze związanym sznurkiem.

~seba25: Jakie rowery posiadaliście?

Long Walk Plus Expedition: Specjalnie przygotowane i składane na nasze zamówienie przez kolegę z Łodzi. Przystosowane ściśle do warunków szutru, pustyni i gór. Mieliśmy siodełka, które specjalnie dostosowują się do pośladków, spersonifikowane, tak że nikt inny nie może potem na nich siedzieć :)

~Ada_13: Czy podczas wyprawy stał się jakiś wypadek?

Long Walk Plus Expedition: Niejeden...

Long Walk Plus Expedition: Bartek prawie stracił przyrodzenie...

Long Walk Plus Expedition: podczas przechodzenia przez rzekę zarwało się pod nim drzewo

~Andżela14: Jaki był najniebezpieczniejszy moment waszej wyprawy?

Long Walk Plus Expedition: Przekraczanie rwącej rzeki w górach Bargużyńskich. Cztery dni spędziliśmy na brzegu próbując pokonać 30 metrów wody, która dzieliła nas od cywilizacji. Ścinailiśmy drzewa 30 m wysokości, próbowaliśmy przerzucić "kotwicę" na drugą stronę. Myśleliśmy też o wybudowaniu tratwy. Ostatecznie asekurowani linkami przepłynęliśmy rzekę na drewnianej kłodzie, ale rzeka i tak wciąż gała pod wodę, co sprawiało duże zagrożenie. Uderzaliśmy o kamieniste dno.

~seba25: Normalnie bajka. Mieliście przewodnika? Mapa czy GPS? Jak radziście sobie?

Long Walk Plus Expedition: Mapę i GPS, bez przewodnika, choć i tak GPS nie przydał się w drodze przez góry. Korzystaliśmy głównie z wojskowych map 1:50 000

~Zore: Dużo chorowaliście podczas całej wyprawy?

Long Walk Plus Expedition: Głównie pod sam koniec, w Tybecie i Indiach. Zatrucia żołądkowe, kaszel spowodowany zimnym wiatrem na Płaskowyżu Tybetańskim.

~seba25: A co z jedzeniem, jaki prowiant?

Long Walk Plus Expedition: Mieliśmy żywność liofilizowaną, z której korzystaliśmy głównie w górach, przy spływie rzeką byliśmy goszczeni przez Jakutów, oni też pomagali nam jeżeli chodzi o żywność. Łowiliśmy też ryby na żyłkę z błystką.

~nacci: Jakie było najładniejsze miejsce według Was, które widzieliście podczas waszej podróży?

Long Walk Plus Expedition: Zjazd z Wyżyny Tybetańskiej do Nepalu zrobił na nas największe wrażenie. W ciągu jednego dnia zjechaliśmy z wysokości 5200 m.n.p.m na 600 m.n.p.m. Z pustynnego płaskowyżu wjechaliśmy w las tropikalny, gdzie rosły bananowce, bambusy i wielkie kwiaty.

~seba25: Jak z bezpieczeństwem? Czy wszyscy napotkani ludzie byli pokojowo nastawieni?

Long Walk Plus Expedition: Tak, to może być szokujące. Przez całą podróż mieliśmy tylko jeden groźny incydent

Long Walk Plus Expedition: Na samym początku w Jakucku ktoś wrzucił gaz pieprzowy do baru, w którym siedzieliśmy.

~adf: Ile zużyto par obuwia ?

Long Walk Plus Expedition: Po jednej na głowę. Ale były to baaardzo dobre buty :) Ciągłe w nich chodzimy

~seba25: Jakiej zapłaty używaliście - pieniądze czy podarunki ?

Long Walk Plus Expedition: Nikt nie żądał od nas żadnej opłaty, ani za noclegi, ani za stawę. Ale w sklepach oczywiście używaliśmy gotówki.

Long Walk Plus Expedition: Tereny, przez które podróżowaliśmy są wybitnie nieturystyczne. Często miejscowa ludność widziała białego turystę po raz pierwszy. Dlatego na trasie od Syberii do Nepalu patrzono na nas jak na kosmitów.

~najtorodo: Czy byliście zapraszani do jakichś lokalnych obrzędów czy tradycji? Jakich?

Long Walk Plus Expedition: Tak, m. in.

tańczyliśmy z Jakutami w kręgu, z Monogolami zabijaliśmy w tradycyjny sposób kozła, karmiliśmy ogień i tajgę w Jakucji. W Nepalu i Indiach malowano nam kropki na czołach, otrzymaliśmy także błogosławieństwo od lamy w Buriacji, w buddyjskim klasztorze.

~lady_zgaga: Ooo, co to znaczy karmić ogień?

Long Walk Plus Expedition: Karmienie ognia to ofiara dla ducha ognia, którą składają Jakuci, po to żeby im sprzyjał. Zawsze przy posiłku, przy każdym rozpaleniu ognia, ofiara składa się z jedzenia: placki, herbata, alkohol etc.

~lady_zgaga: Jakież przygody z tamtejszymi często groźniejszymi zwierzętami?

Long Walk Plus Expedition: Szczęśliwie nie, w tajdze widzieliśmy z bliska jelenie, sarny i mnóstwo śladów niedźwiedzi. Samego misia na szczęście nie spotkaliśmy, było za to pełno komarów, kleszczy, meszek, much końskich i innego syfu.

~seba25: Mieliście jakąś broń?

Long Walk Plus Expedition: Noże, siekiere. Tomek: wściekłość w sercu...

~Ewelina: Wiecie, że jesteście niesamowici? Właśnie takich ludzi potrzebuje ten świat! Kiedy kolejna wędrówka? I przede wszystkim jakim szlakiem. Bo z pewnością to uzależnia! ;)

Long Walk Plus Expedition: Dzięki za miłe słowa! Na razie musimy skończyć ten projekt i wyprodukować film dokumentalny. Tomek: Mamy już w głowie kolejne pomysły, ale to na razie nasza słodka tajemnica.

~Loki: W jaki sposób zabezpieczaliście się przed trudami długiego marszu?

Long Walk Plus Expedition: Przed trudnościami nie można się zabezpieczyć. Trzeba je pokonywać. Najważniejsza jest psychika.

~zonk: Jak zabrać się za organizację takiego wypadu? Czy wystarczy sam pomysł?

Long Walk Plus Expedition: Pomysł jest najważniejszy, potem siła, energia i motywacja do walki, ale też dobra organizacja i logistyka. Najważniejsze to zrobić pierwszy krok (byle nie w bok)

Long Walk Plus Expedition: Pozostało w nas pragnienie odkrywania świata, na pewno nie damy się teraz zamknąć w ramy biura, garnituru i prostego pędu za sukcesem.

Śladami wielkiej ucieczki

Urszula Seifert: Jaka idea najbardziej Wam przyświecała?

Tomasz Grzywaczewski: Siłą tego projektu nie jest sama trasa. To nie jest też wysiłek, jaki w drogę włożyliśmy.

Jest wielu wspaniałych podróżników, którzy dokonują fenomenalnych wyczynów. Jednak nasza wyprawa nie jest wyczynem. Tym bardziej sportowym. Siłą jest wspomniana idea, czyli chęć opowiedzenia historii w nowoczesny sposób. Pokazywania, że w naszej historii były fantastyczne postaci i niesamowite historie. Bez wkuwania dat na pamięć z podręczników. Bez takiej nutki romantyzmu, szaleństwa myślę, że ta nasza wyprawa nie byłaby tak interesująca. Należy w niekonwencjonalny sposób przedstawić historię. Uważam się za patriotę, kocham Polskę, ale często jestem zażenowany tym, w jaki sposób mówi się o polskiej historii. Mam wrażenie, że nad naszą historią utrzymuje się widmo klęski, bo nie ukrywamy, nie była łatwa. Wszystko w przeszłości przegrywaliśmy. I dopiero teraz się poodnosimy. Ja tak nie uważam. Wręcz przeciwnie, kiedyś była ogromna liczba sukcesów i bohaterów. Tylko o tym się nie mówi. W historii Witolda Głińskiego jest to, że oni uciekli – udało się, zakpili z systemu. To jest niesamowite. Jest to również powód, by mówić o tych, którzy zostali na tamtej ziemi. Którzy tam zginęli.

T.G.: Nikt z nas wcześniej nie był w Jakucku – na Syberii. Tym bardziej w Chinach czy w Tybecie. Zbieraliśmy informacje, co nam nieraz uratowało życie. Tę wyprawę przygotowaliśmy w cztery i pół miesiąca, a to jest bardzo mało na taką ekspedycję. Całymi dniami pracowaliśmy nad wieloma ważnymi aspektami.

U.S.: Jakie są koszty takiej wyprawy?

T.G.: Wysokie, ale nie mogę o nich mówić, bo wiąże mnie umowa ze sponsorem. Były spore, ale w dużej mierze wynikały z potrzeby dokumentowania ekspedycji i nagłaśniania. Mogę zdradzić, że na łączność wydaliśmy około 30 tysięcy złotych. Nadawaliśmy dla radia, prowadziliśmy bloga, byliśmy w kontakcie ze wszystkimi. To generowało wydatki.

U.S.: Prócz przygotowań fizycznych były też psychiczne... Wśród nich rozmowa z Witoldem Głińskim.

T.G.: Spotkaliśmy się z panem Witoldem przed naszym wyjazdem w marcu. W telewizji można było obejrzeć miniwywiad. Głiński stał nad tym wszystkim. Był mentorem, symbolem losów Polaków. Był cały czas obecny w naszych umysłach, on nas motywował do walki. Zdawaliśmy sobie

sprawę, że to nie jest nasza prywatna sprawa. Owszem, robiliśmy to także dla siebie – dla przygody. Ważniejszy był jednak fakt, że robimy to dla kogoś. Zrobiliśmy to dla Głińskiego i z potrzeby mówienia o patriotyzmie. Wyższe cele motywują. Dają wewnętrzne przekonanie, że robi się coś ważnego. Nie mogliśmy się poddać. Nie było możliwości się wycofać.



Zakończenie wyprawy Long Walk Plus Expedition (11.11.2010)
<http://www.halolodz.pl/wiadomosci/artukul-multimedia,35124.html>

U.S.: Było ciężko?

T.G.: Naszym podstawowym hasłem było „Nigdy się nie cofamy! Nie poddajemy!”. A przede wszystkim nie robimy kroku w tył. Szliśmy do przodu. Owszem, były ciężkie momenty, gdy nie chciało się wyjść ze śpiwora. Jechać przez cały dzień, pod wiatr z prędkością 4 km/h. Były również momenty, kiedy pojawiało się zagrożenie życia. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nierozważny krok może nas kosztować życie. Jednak to nas motywowało do jeszcze większego wysiłku. W takich warunkach nie można pozwolić sobie na zwątpienie, bo jest to niebezpieczne.

Bartosz Malinowski: Można użyć kolokwialnych słów „Maszeruj albo zdychaj”. Nie ma zmiłuj, są natomiast krew, pot i łzy. To jest ogromna pasja i jeśli ktoś jej nie ma, to się nie nadaje. My ją mamy, jesteśmy wariatami i kochamy to, co robimy. A przede wszystkim dbamy, by nasze kolejne dni nie były za mocno zaplanowane.

Cyt.: Śladami wielkiej ucieczki / [rozmowa Urszuli Seifert z Tomaszem Grzywaczewskim i Bartoszem Malinowskim] // UZetka : gazeta samorządu studenckiego Uniwersytetu Zielonogórskiego. – 2010. Nr 71 (grudzień), s. 3-5 [fragmenty], dostęp online <http://www.gazeta.uzetka.pl/files/euzetka/pdf/20101206233547.pdf>

Long Walk Expedition na Facebooku

<http://www.facebook.com/Longwalkplusexpedition?ref=ts>

Filip Drożdż, Tomasz Grzywaczewski oraz Bartosz Malinowski

- trzech łódzcy podróżnicy, nominowani do prestiżowej nagrody „Traveler 2010” przyznawanej przez National Geographic Polska

Za swój niezwykły wyczyn Filip Drożdż, Tomasz Grzywaczewski i Bartosz Malinowski zostali nominowani do prestiżowej nagrody „Traveler 2010” w kategorii „Podróż roku” przyznawanej przez National Geographic Polska. O tym, kto otrzyma zaszczytną nagrodę zdecydują internauci poprzez głosowanie smsowe.

Aby poprzeć kandydaturę Filipa, Tomka i Bartka należy wysłać smsa o treści TR.(kod wybranej nagrody).A2 na numer 71001 (kosz 1,23 zł z VAT). Głosowanie trwa do 15 marca.

Więcej szczegółów na stronie internetowej „Traveler 2010”
<http://www.traveler2010.national-geographic.pl/nominacje/>

Cyt.: <http://www.halolodz.pl/wiadomosci/artukul,4298,1,1.html>

11 listopada 2010 roku zakończył się Long Walk Plus Expedition. Polkomtel S.A., operator sieci Plus jest dumny, że wsparł wyprawę, będącą hołdem młodemu pokoleniu Polaków, dla tych którym nie dane było żyć w czasach pokoju. [...] Polkomtel S.A. zaangażował się w tę inicjatywę, będącą połączeniem energii, poświęcenia i walki z własnymi ograniczeniami. Wsparliśmy tych, którzy w sposób szczególny uhonorowali nieznanego bohatera. Jako sponsor wyprawy Long Walk Plus Expedition czujemy dumę, że wzięliśmy udział w tym przedsięwzięciu. Gratulujemy Tomaszowi Grzywaczewskiemu, Bartoszowi Malinowskiemu i Filipowi Drożdżowi ukończenia Wielkiego Marszu! Nadal będziemy wspierać tych, którzy chcą i potrafią w tak śmiały sposób dać wyraz swojemu patriotyzmowi. Postaramy się być tam, gdzie historia opowiadana jest przy użyciu współczesnych form wyrazu, gdzie pomysł łączy się z odwagą i szacunkiem dla przeszłości.

Zarząd

Polkomtel S.A.

<http://www.plusblog.pl/gratulacje-dla-uczestnikow-long-walk-plus-expedition/>

Podróż, która odwraca porządek

- To, czego dokonał Witold Głiński, to był wielki wyczyn i wzbudził on nasz ogromny szacunek - zapewnia Tomasz Grzywaczewski. - Po tej podróży możemy sobie wyobrazić, co przeżył. Dla nas też pewne sprawy, które były ważne przed wyprawą, straciły na znaczeniu.

Trzej bohaterowie wrócili ze swojej wyprawy innymi ludźmi. Pewnie też lepiej poznali siebie.

- Tam się zupełnie odwraca porządek - deklaruje Tomek. - Nasze codzienne kłopoty z pracą, pieniędzmi i tym podobne są kompletną abstrakcją. Istotne stają się proste sprawy: żeby się najeść, wyspać, przeżyć. To ciekawe z psychologicznego punktu widzenia. Wpływa to również na nasze myślenie po powrocie.

Podróż, która odwraca porządek / [z Tomaszem Grzywaczewskim i Bartoszem Malinowskim rozmawia Dariusz Pawłowski] // Dziennik Łódzki - Polska. - 2010, 19 listopada, [fragmenty] [dostęp online] http://www.dzienniklodzki.pl/magazyn/334718,podroz-ktora-odwraca-porzadek,jd,t.html#material_1

Długi marsz do prawdy

26 grudnia 2010 r. na ekrany kin w Wielkiej Brytanii wszedł film „The Way Back” Petera Weira. Na najnowszy obraz reżysera jego fani musieli czekać siedem lat. On sam twierdzi, że nie sztuką jest zrobić film, ale sztuką jest zrobić dobry film.

Po kilkuletniej przerwie australijski reżyser zdecydował się zrealizować film inspirowany książką Sławomira Rawicza, „Długi marsz”, w której opisuje on swoją ucieczkę z sowieckiego lagru, a następnie wędrówkę ku wolności przez Syberię, Mongolię, pustynię Gobi, Tybet, Himalaje, aż do Indii. Peter Weir przed w trakcie zbierania materiałów do filmu napotkał na głosy sugerujące, że wspomnienia Rawicza nie są prawdziwe. I że tak naprawdę autor powieści przeszedł tej morderczej trasy, a jedynie przywłaszczył sobie czyjąś historię. Po dogłębnych poszukiwaniach reżyser, jak sam stwierdza w jednym z wywiadów, postanowił on nie tworzyć filmu na podstawie książki, a jedynie się nią inspirować. W trakcie przygotowań do realizacji obrazu Weir zgromadził liczne świadectwa Sybiraków, które – łącznie z powieścią Rawicza – pomogły mu w naszkicowaniu fabuły. Dlatego też bohater filmu „The Way Back”

nie nosi imienia Sławomir, a Janusz i nie jest alter ego powieściowego bohatera, a postacią złożoną z wielu historii, z wielu życiorysów Sybiraków, do których reżyserowi udało się dotrzeć.

Piękni Polacy

Peter Weir w rozmowie z dziennikarzami o swoim najnowszym filmie stwierdził, że w historii Sławomira Rawicza, którą czytał w latach '50. najbardziej ujęła go jej prostota i jednomyślność bohaterów. „Nie było w tej książce niepotrzebnym konfliktów między uciekinierami. Ci ludzie mieli jeden cel i do niego wspólnie dążyli, pomagając sobie nawzajem” – mówił w wywiadzie dla „The Telegraph”. Tę słabość do bohaterów książki reżyser przeniósł na zrealizowany przez siebie film. Weir pięknie patrzy na Polaków. Na przykładzie głównego bohatera, Janusza, przedstawia ich jako ludzi



<http://the-way-back.new-movie-trailer.com/>

honoru, których słowo jest niepodważalne. Jako ludzie szlachetnych, gotowych do poświęceń, wybaczenia, ale nieustępliwych w swych decyzjach i ideałach do końca, nawet jeśli miały to się równać śmierci. Jednocześnie jednak łamie ten patos typowo polskim ogromnym poczuciem humoru i przekonaniem głównego bohatera o swojej zwykłości. O tak, takimi Polacy z pewnością lubią się oglądać. Film Weira przypomina, jacy Polacy bywają naprawdę... Dla porządku trzeba przyznać, że film ma kilka (choć niewielkich) mankamentów. Ponieważ aktorzy nie są Polakami, to ich polszczyzna, na szczęście rzadko używana, rani uszy. Anglojęzyczni widzowie, skarżąc się na to, że aktorzy mówią po angielsku z ciężkim akcentem. Zastanawiają się też,

czemu po angielsku, skoro to film o Polakach na Syberii. Ale i z tego reżyser jakoś wybrnął (jak, sprawdźcie Państwo sami). Poza tym historii opowiedzianej przez Petera Weira nie można nic zarzucić. Dialogów nie jest wiele, więc nie jest to film „przegadany”, a te które są prowadzone są z wyczuciem – wg dobrego reżyserskiego przepisu – trochę humoru, budowanie napięcia, tajemnice, rozterki. Niewątpliwym wzbogaceniem historii jest też wprowadzenie nieco schematycznej postaci Rosjanina-kryminalisty Valki, granego przez Colina Farrela. Valka jest przerażająco prosto myślącym człowiekiem, którego prowadzi przez życie instynkt samozachowawczy. Farrel zdołał nadać tej mroźnej w żyłach postaci jednak wiele humoru i „rosyjskiego” czar. Świetnie też zagrał swoją rolę rumuński aktor Dragos Bucur, wcielając się w postać Zoran. Także, jedyna kobieta w zespole aktorów – Irlandka, Saoirse Ronan, poradziła sobie bardzo dobrze z kreacją Polki, Ireny. Ronan, mimo młodego wieku, grała już z najlepszymi aktorami i wielokrotnie była nominowana do nagród za odgrywane przez siebie role. Należy również oddać sprawiedliwość Brytyjczykowi Jimowi Sturgessowi, odgrywającemu rolę głównego bohatera – Janusza. Aktor poradził sobie (jakoś) z kilkoma polskimi sentencjami, a także z odgrywaniem ciężkiego, polskiego akcentu w swojej rodzimej angielszczyźnie. Na końcu wypadłoby również wspomnieć świetną kreację Eda Harrisa, grającego tajemniczego Amerykanina, Mr. Smitha, który niejednokrotnie był zapraszany przez Petera Weira do współpracy na planie filmowym.

Film „The Way Back” pokazuje, oprócz historii niezwykle determinacji ludzkiej w drodze do wolności, także kilka uniwersalnych prawd – jak tą, że od zezwierzęcenia czasami chroni nas myśl, że jesteśmy ludźmi, a także tą, że czasami najbardziej nierealne plany stają się możliwe, jeśli stoi za nimi wola przetrwania, bez śladu wątpliwości.

Ogromną zaletą filmu jest nie tylko jego treść, dobre aktorstwo i reżyseria, ale też i świetne zdjęcia. Obraz był realizowany w Afryce – w Maroku, i w Bułgarii, która skutecznie „zagrała” Syberię. Film Petera Weira zdobył uznanie zarówno krytyków jak i widzów. Po projekcji, zakończonej krótką wstawką dokumentalną o wydarzeniach historycznych w Polsce, widzowie potrzebują chwili by móc wrócić do rzeczywistości. Te kilka sekund ciszy na widowni po zakończeniu pokazu są chyba najlepszą recenzją.

Kontrowersje i dyskusje

Grudniowa premiera filmu *Weira* odświeżyła ciągnące się od dawna, na łamach prasy, w Internecie, a także w prywatnych korespondencjach, dyskusje na temat prawdziwości historii, którą opublikował Sławomir Rawicz pod swoim nazwiskiem. Bohaterów TEJ historii jest trzech: Sławomir Rawicz, autor książki „Długi marsz”, opublikowanej w 1953 roku (wykorzystano przy pracy nad tą książką tzw. ghost writera, dziennikarza Ronalda Downinga, który wysłuchawszy opowieści Rawicza spisał ją po angielsku), Witold Gliński i Leszek Gliniecki.

Witold Gliński w 2009 roku, po śmierci Rawicza (2004) oznajmił na łamach prasy, że tak naprawdę to on przebył morderczy szlak z Syberii do Indii, a nie autor powieści. Opublikowana przez angielskiego dziennikarza, Johna Dysona na łamach magazynu *Reader's Digest* informacja, wywołała ogromny sprzeciw dzieci Sławomira Rawicza. Rozgłos sprawił, że wiele osób zaczęło interesować się tą historią. Po wnikliwych badaniach okazało się, że nie ma wystarczających dowodów, żeby twierdzić, że Witold Gliński z całą pewnością kłamie lub mówi prawdę. Jednocześnie, badający tę historię entuzjaści przekonali się, że Sławomir Rawicz nie mógł być bohaterem własnej historii. Na dowód czego mają odpowiednie dokumenty historyczne. Żeby rzecz skomplikowała się jeszcze bardziej ostatnio pan F.L. Gliniecki z Londynu wystosował oświadczenie, że on Witolda Glińskiego znał ze szkoły i nie jest możliwe, żeby człowiek ten był bohaterem „długiego marszu do wolności”. Artykuł o teorii Glinieckiego, pióra Elżbiety Sobolewskiej, był drukowany w „Dzienniku Polskim” w ub.r. Gdy pretensje te zostały nagłośnione, w prasie zawrzało. Znalazło się bowiem wielu obrońców Witolda Glińskiego.

Inspiracje

Historia opisana w „Długim marszu” stała się inspiracją dla wielu ludzi. I to do przedziwnych działań. Na przełomie 2003 i 2004 roku paryżanin Sylvain Tesson, pisarz-podróżnik zainspirowany dokonaniem Polaka, przemierzył trasę opisaną przez Rawicza w jego książce.

W tym samym czasie podobną trasę pokonali Lauren Ditolla, Ant Chapin, Dave Andreson and Keri Bean. W czasie tej



<http://wiadomosci.fdb.pl/11033-pierwsze-zdjecia-z-the-way-back>

podróży, obejmującej 8 tys. mil, podróżnicy poszukiwali jakichś dokumentów potwierdzających obecność Rawicza. Nic nie znaleźli. Przemierzali się na piechotę, konno, na rowerach, a nawet na wielbłądach. Relacje z tej podróży można poczytać na stronie WWW.thelongwalk2004.com, na której chętni odnajdą także opis historii opisanej przez Rawicza. Podobno Dave po ogłoszeniu oświadczenia Witolda Glińskiego był bardzo zawiedziony, że jego idol, którego niezwykła historia zmobilizowała go do tak ogromnego wysiłku, jest podejrzewany o kłamstwo. Ale, jak zaznaczył podróżnik był szczęśliwy, że taką podróż odbył, a także stwierdził, że nie jest tak bardzo istotne kto dokładnie tą trasę pokonał, ważne, że została pokonana.

Witold Gliński stał się natomiast inspiracją dla trzech młodych podróżników z Polski: Tomasza Grzywaczewskiego, Bartosza Malinowskiego i Filipa Drożdża, którzy wiosną, 2010 roku rozpoczęli swoją wędrówkę „ku wolności”. Ekspedycja nazwana została „Long Walk Plus Expedition” i była finansowana przez lokalnego operatora telefonów komórkowych. Przed wyprawą polscy podróżnicy spotkali się z Witoldem Glińskim i zrealizowali o nim krótki film dokumentalny dla Telewizji Polskiej, który połączyli relacją z własnej wyprawy. „Jego historię zna cały świat. O jego ucieczce do z Syberii do Indii powstaje film w Hollywood. On sam żyje w zapomnieniu”, podkreślali w swoim filmie Grzywaczewski, Malinowski i Drożdż. „To jest facet tak poturbowany przez życie, że to się w głowie nie mieści. Nie dość, że walczył to jeszcze później ktoś ukradł mu jego życie. (...) Zastanawiam się co będzie jak się spotkamy z Glińskim i opowiemy mu nasz plan, to co on nam powie?”, zastanawiał się jeden z nich. Na co usły-

szął odpowiedź: „Ja myślę, że powie – fajnie chłopaki!”. Ale Gliński, powiedział coś zupełnie innego: „Trzeba wiele wysiłku aby osiągnąć cel, czasami planuje się coś nie mając pojęcia, nie przeczuwając co się może wydarzyć. (...) Myśl sam. Musisz uciekać swoją własną drogą. Rozumiesz?”

Ekspedycja polskich podróżników udała się, wrócili, przeszli wytyczoną, jak wierzą, przez Witolda Glińskiego trasę. Ich wyprawa podzielona była na cztery etapy: wodny (spływ rzekami do okolic Jakucka),

pieszy (od wschodniego brzegu Bajkału do granicy rosyjsko-mongolskiej), konny (przez Mongolię do granicy z Chinami) i rowerowy do końca trasy, do Indii.

Po powrocie do kraju na podróżników czekała niespodzianka w postaci pytań dziennikarzy o prawdziwość historii Glińskiego. Trzej Polacy do tej pory bronią zaciekle swojego idola. Za sojusznika mają brytyjskiego dziennikarza, który jako pierwszy ujawnił rewelację jego historii świata, Johna Dysona. Dyson nie widzi powodów, dla których Gliński miałby kłamać. „Opowieść Glińskiego uderzyła mnie swoją szczerością. Nie zapłaciłem mu za jego historię, chociaż przepytwałem go przez osiem dni. Kiedy zapytałem o jakiś dowód, tylko machnął ręką – ‘Nie obchodzi mnie czy mi wierzysz czy nie. Opowiedziałem tylko moją historię. Nie mam nic więcej do dodania’. (...) Wiem od żony i dzieci Glińskiego, że choć słyszał o książce Rawicza, to nigdy jej nie czytał” napisał w komentarzu do artykułu Tomasza Grzywaczewskiego, broniącego Witolda Glińskiego przed zarzutami Leszka Glinieckiego. Artykuł ten zamieszczony jest na stronie internetowej Mikaela Strandberga, szwedzkiego podróżnika, filmowca i pisarza, który już od dłuższego czasu śledzi na swoim blogu przebieg dyskusji i angażuje różne osobowości medialne do wypowiedzenia się na ten temat (<http://www.mikaelstrandberg.com/2010/12/10/the-long-walk-to-freedom/>). Naprawdę warto poczytać, by zdobyć własną opinię na ten temat.

Cyt.: Długi marsz do prawdy / Justyna Daniluk // Dziennik Polski. – 2011, 27 stycznia, [dostęp] http://www.dziennikpolski.co.uk/index.php?option=com_content&view=article&id=1036:dugi-marsz-do-prawdy&catid=6:kultura&Itemid=13

Film "The Way Back" i syberyjskie archiwum SWAP

Na ekrany nowojorskich kin 21 stycznia 2011 roku wszedł do masowego rozpowszechniania film fabularny Petera Weira "The Way Back" z Colinem Farrellem i Edem Harrisem w rolach głównych.

Na stronie internetowej tego filmu <http://www.thewaybackthemovie.com/> w dziale "Gallery" producenci umieścili link do archiwum filmowego Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce. Nazwa tego linku: Polish Army Veterans Association YouTube Pages. Znajdziemy tam fragmenty kilkudziesięciu relacji filmowych (w języku angielskim i polskim) osób, które w czasie II wojny światowej trafiły na nieludzką ziemię Związku Sowieckiego. Wysłuchać można wiele tragicznych opowiadań o deportacjach polskiej ludności cywilnej na Syberię, o nieludzkich warunkach życia na przymusowym zesłaniu w niezwykle surowym klimacie, w obozach pracy (łagrach), więzieniach, gdzie praca ponad siły, głód i choroby dziesiątkowały zesłańców, zwłaszcza dzieci.

Możliwość wysłuchania tych relacji w języku angielskim powoduje, że wiedza o zbrodni ludobójstwa na narodzie polskim dokonanej przez Związek Sowiecki przebija się obecnie dzięki internetowi na cały świat. Najnowszy film Petera Weira "The Way Back" może odegrać w upowszechnianiu tej wiedzy niebagatelną rolę.

Archiwum filmowe SWAP zawiera ponad 170 wielogodzinnych filmowych relacji sybiraków oraz weteranów – uczestników walk na różnych frontach II wojny światowej. Archiwum to tworzone jest od 1998 r. Na zlecenie Fundacji SWAP i Okręgu 2. SWAP relacje nagrywali następujący filmowcy: Marian Faryniarz, Eugeniusz Starky, Małgorzata Pośpiech i Gabriela Budny. Pomysłodawcą i konsultantem historycznym przy tworzeniu tego archiwum jest dr Teofil Lachowicz.

Na podstawie materiałów filmowych zgromadzonych w archiwum SWAP dr Małgorzata Pośpiech (dziennikarka, pisarka i reżyserka filmów dokumentalnych) zrealizowała film dokumentalny "Pokolenie", który miał premierę na nowojorskim Columbia University. Dziełem dr Małgorzaty Pośpiech jest również stworzenie na portalu YouTube kanału filmowego SWAP w wersji polskiej:

www.youtube.com/pavany09/ i w wersji angielskiej:

www.youtube.com/pavany09english

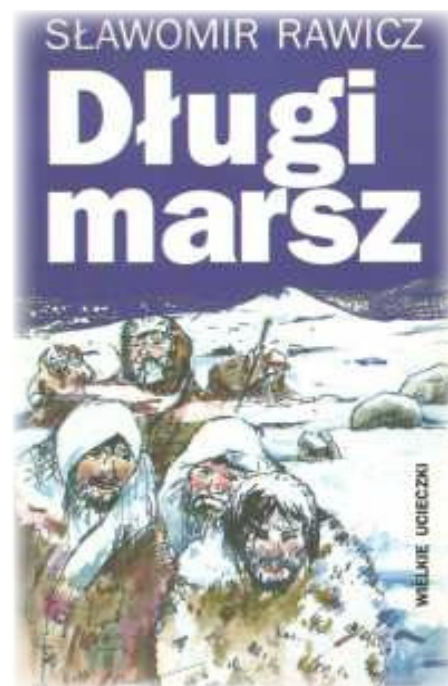
Oba projekty sfinansował Okręg 2. SWAP, którego komendantem jest Antoni Chrościelewski – sybirak i weteran 2. Korpusu Polskiego.

Cyt.: Film "The Way Back" i syberyjskie archiwum SWAP / Teofil Lachowicz // Nowy Dziennik. – 2011, 23 stycznia. – [dostęp]

<http://www.dziennik.com/news/polonian/17099>

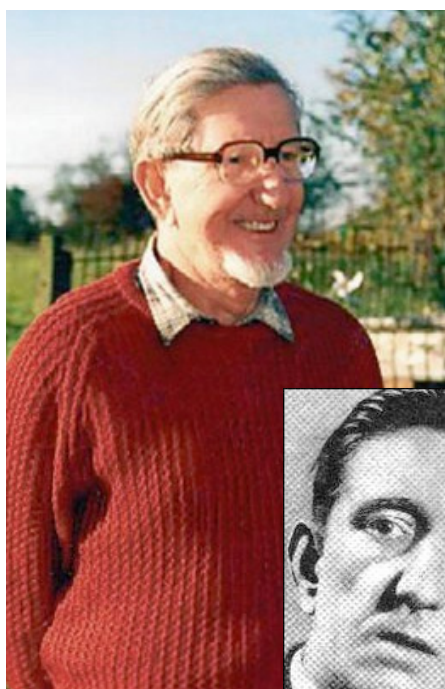
Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce (SWAP) - najstarsza w świecie niezależna, samopomocowa organizacja b. polskich żołnierzy działająca nieprzerwanie od 1921 roku. Kwatera główna znajduje się w Nowym Jorku na Manhattanie w należącym do Okręgu 2. SWAP "Domu Weterana Polskiego" przy 119 East 15th Street. Mieści się tu również organizacyjne archiwum i powstałe w 1996 roku Muzeum Tradycji Oręża Polskiego.

Cyt.: <http://www.pava-swap.org/index.htm>



Wyd. UNICORN, Londyn-Warszawa 1993

<http://survival.strefa.pl/ksiazki2.htm>



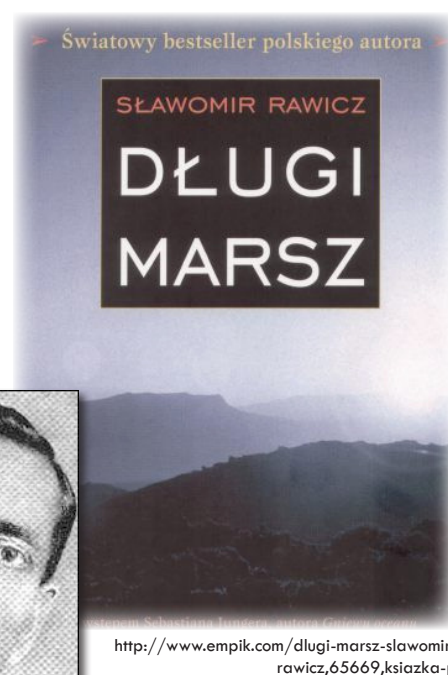
<http://krakow.gazeta.pl/krakow/51,42699,3100383.html?i=0>

Sławomir Rawicz

http://news.bbc.co.uk/2/hi/uk_news/magazine/6098218.stm

ur. 1 września 1915 w Pińsku, zm. 5 kwietnia 2004 w Nottingham, porucznik kawalerii Wojska Polskiego. W czasie kampanii wrześniowej dostał się do sowieckiej niewoli. W 1941 miał jakoby zbiec z gułagu na Syberii i przedostać się do Indii a później do Iranu. Po 1945 roku na emigracji w Wielkiej Brytanii. Sławomir Rawicz opisał swoje przeżycia w książce *Długi marsz* (oryg. *The Long Walk*, 1955, [wydania polskie: 1993, 2001, i w następnych latach]. W pięć lat po śmierci Rawicza potwierdzona została prawdziwość historii ucieczki z sowieckiej niewoli, jednak okazało się, iż Rawicz przywłaszczył sobie historię innego żołnierza polskiego - Witolda Glińskiego. Fałszerstwo wyszło na jaw w momencie, gdy okazało się, iż Rawicz nie mógł uciec z obozu, gdyż według sowieckich archiwów wojskowych został ewakuowany wraz z armią Andersa do Persji. Na niekorzyść byłego żołnierza świadczy również wiele innych rozbieżności pomiędzy jego aktami, a treścią książki.

http://pl.wikipedia.org/wiki/S%C5%82awomir_Rawicz



<http://www.empik.com/dlugi-marsz-slawomir-rawicz,65669,ksiazka-p>

Gułag w superprodukcji

„Niepokonani” Petera Weira to pierwszy hollywoodzki film o sowieckich obozach. Dla wielu ludzi na Zachodzie będzie szokiem.

Łagier w pobliżu Jakucka na Syberii. Brygada skrajnie wyczerpanych więźniów „wróciła z katorżniczej pracy poza zoną. Kucharz na trzaskającym mrozie wydaje im po chochli mętnej balandy. Na początku kolejki stoi Smith (Ed Harris), amerykański inżynier, który przyjechał do Moskwy budować metro i został aresztowany przez NKWD pod zarzutem szpiegostwa. Odbiera porcję zupy i przydział czarnego chleba. Gdy odchodzi na bok, kromka wypada mu z ręki i spada na śnieg. Widzi to jeden z dochodniaków, którzy klęczą na ziemi i piją wylwane im do miski pomyje. Konający z głodu mężczyzna z dzikim skowytym rzuca się na chleb, ale Smith w ostatniej chwili przydeptuje go butem. Dochodziaga zaczyna rozdzierająco szlochać, a Amerykanin spokojnie wyjmując kromkę spod podeszwy i zaczyna ją przeżuwać. Całą scenę widzi stojący w kolejce Janusz (Jim Sturgess), polski żołnierz, jeniec z września 1939 roku. Podchodzi do klęczącego na śniegu mężczyzny i dzieli się z nim własną zupą. Smith patrzy z dezaprobatą. - - Planujesz przetrwać tu na połowie racji, synu? - pyta Polaka. - To jest stary człowiek. - Ja jestem starym człowiekiem. Jutro rano będę żył. On nie. Dobroć może cię tutaj zabić. Smith odchodzi, a w tle widać przysypywany śniegiem barak, słup ze szczekaczką i wieżyczki strażnicze. Obok długa kolejka czekających na zupę, zmarzniętych na kość mężczyzn w podartych waciakach i ze stopami obwiązany szmatami. To jedna ze scen z filmu „The Way Back”, najnowszego dzieła znanego reżysera Petera Weira, twórcy „Pikniku Pod Wiszącą Skatłą” i „Stowarzyszenia Umarłych Poetów”. Podobnej sceny szeroka publiczność kinowa w Ameryce czy zachodniej części Europy do tej pory jeszcze nie widziała. W masowej kulturze Zachodu temat sowieckich zbrodni przeciw ludzkości właściwie bowiem nie istnieje.

- To pierwszy hollywoodzki film o Gułagu. Choć wielu Amerykanów podczas zimnej wojny słyszało o sowieckim koszmarze, nie do wszystkich ta wiedza dotarła. Peter Weir mówił mi, że wielu jego znajomych z Hollywood nigdy nie słyszało o sowieckich obozach koncentracyjnych. Tylko o niemieckich – opowiada dziennikarka „Washington Post” i autorka głośnej książki „Gułag” Anna Applebaum, która była jednym z konsultantów filmu.



Na zdjęciu od lewej: Ed Harris (w filmowy Mr Smith), Colin Farrell (Valka), Peter Weir (reżyser), Saoirse Ronan (Irena), Jim Sturgess (Janusz), Sebastian Urzędowski (Kazik), Costa Gavras podczas premiery filmu „The Way Back” w Paryżu 13 grudnia 2010 r.
<http://www.zimbio.com/pictures/WmnBkwHC5vQ/The+Way+Back+Paris+Photocall/Ofz-ZTt73Zss/Peter+Weir>

„The Way back” właśnie wszedł na ekrany kin w USA. Polska premiera (w naszym kraju będzie wyświetlany pod tytułem „Niepokonani”) przewidziana jest na 8 kwietnia. [...]

Superprodukcja Weira jest filmem w dużej mierze poświęconym tragicznej historii Polski w XX wieku. Sam reżyser nazywa ją „Polish story”. Głównym bohaterem jest wspomniany wyżej jeniec Janusz. Film zaczyna się od dramatycznej sceny rozgrywanej się w kazamatkach NKWD, gdzieś na terenie okupowanych ziem wschodnich Rzeczypospolitej. [...]

- Postać Janusza ma symbolizować los setek tysięcy Polaków którzy w latach 1939-1941 zostali deportowani w głąb Związku Radzieckiego. Ta tragedia głęboko poruszyła Petera, który swoim filmem chciał oddać hołd tym ludziom. Poinformować Zachód, przez co przechodzili – opowiada Zbigniew Stańczyk, polski historyk mieszkający w Kalifornii. To właśnie on skłonił Weira do nakręcenia filmu. Stańczyk, który w Instytucie Hoovera na Uniwersytecie Stanforda przez 20 lat opiekował się dokumentami rządu RP na uchodźstwie, jest jednym z najlepszych znawców losów Polaków w Sowietach. Gdy w 2007 roku powstał pomysł nakręcenia filmu na podstawie książki Rawicza, hollywoodzcy producenci zadzwonili właśnie do niego.

- Peter wahał się, czy robić ten film. Za namową producentów przyleciał z Sydney, gdzie mieszka, do Kalifornii i spędzili

tydzień na długich rozmowach – opowiada historyk. – Wyłożyłem na stół najmocniejsze karty. Setki dokumentów, zeznań, kartotek i fotografii. Do tego codzienne parogodzinne wykłady. Pokazywałem mu zdjęcia całych rodzin, które nie przetrwały Syberii. Gdy powiedziałem, że jedna czwarta deportowanych Polaków miała mniej niż 14 lat, nie mógł uwierzyć. Któregoś dnia Weir poprosił Stańczyka, żeby pokazał mu fotografię jakiejś deportowanej dziewczynki, która była w wieku jednej z bohaterek „Długiego marszu”. Historykowi udało się znaleźć wyjątkowo poruszające zdjęcie polskiego dziecka. Weir długo się w nie wpatrywał, a wreszcie powiedział: „Chciałbym, by tak wyglądała dziewczynka, która ją zagra”. Zdecydował, że nakręci ten film.

Reżyser zaczął czytać dostarczone mu przez Stańczyka książki o zbrodniach komunistycznych popełnionych na Polakach. Największe wrażenie zrobił na nim „Inny świat” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Czytał również „Mój wiek” Aleksandra Wata. Wiele scen zawartych w książkach znalazło się później w scenariuszu filmu. Na plakacie filmowym umieszczono zaś hasło „Ucieczka była dopiero początkiem”. Ma to być przypomnieniem, że dla Polski i innych krajów Europy Wschodniej II wojna światowa skończyła się dopiero w 1989 roku. Anna Appelbaum: - Właśnie dlatego film ma takie nietypowe zakończenie. Widzimy w nim okupowaną przez Sowietów Europę, Budapeszt '56, Pragę '68. Bohater wraca do domu dopiero po pół wieku, gdy Polska odzyskuje niepodległość. Polska

prasa, pisząc o filmie Weira, skupia się głównie na wątkach dotyczących naszego narodu. Wiele osób liczy, że „The Way Back” przyczyni się za oceanem do poprawy wizerunku Polaków, któremu zapewne sporo zaszkodzi nowa książka Jana Tomasza Grossa. Rzeczywiście – w Hollywood dawno nie nakręcono filmu, który by stawiał nas w tak korzystnym świetle. Może nawet ważniejszy jest jednak antykomunistyczny wydźwięk filmu. Na Zachodzie występuje wielka dysproporcja w traktowaniu zbrodni Trzeciej Rzeszy i Związku Sowieckiego. Skalę tych ostatnich albo się pomiesza, albo stara się je usprawiedliwić, albo wręcz neguje. Wielkie zasługi na tym polu mają rzesze lewicowych prokomunistycznych intelektualistów. Wszystko to rezonuje w mediach i kulturze masowej. Teraz miliony widzów zobaczą przejmujący, odtworzony przez Weira w niezwykle realistyczny sposób, obraz piekła, jakim były sowieckie obozy. Zobaczą więźniów konających z głodu lub zamarzających podczas katorżniczej pracy w kopalniach czy przy wyrębie lasu. Zobaczą brutalność łagrowych strażników i enkawudzystów. Terror, strach i nędzę, które składały się na codzienność sowieckiej egzystencji.

Anna Appelbaum: Weir jest perfekcjonistą. Od samego początku zależało mu, by dokładnie odtworzyć historyczne realia. Podobnie jak Zbyszek, czytałam scenariusz na kolejnych etapach powstawania i zgłaszałam swoje uwagi. [...]

Reżyser dopytywał się o najdrobniejsze detale dotyczące łagrowej codzienności. Raz zadzwonił do Anny Appelbaum, by dowiedzieć się, czy strażnicy, którzy odbierali transporty więźniów na stacji kolejowej, nosili takie same mundury jak strażnicy, którzy odbierali więźniów u bram obozu. – W efekcie to, w jaki sposób Weir przedstawił Gułag jest fantastyczne. Nie słyszałam o niczym podobnym – podkreśla Appelbaum. [...] Z niezwykłym pietyzmem specjaliści od rekwizytów odtworzyli również wnętrza baraków. [...] – Peter potrzebował precyzyjnych informacji. Jak byli ubrani strażnicy, co nosili na sobie więźniowie. Z jakich materiałów budowano obóz, jaki był jego rozkład. Czy wieże strażnicze miały reflektory czy nie – opowiada Stańczyk. – Ja z kolei prosiłam go, by nie używał kostiumów prosto spod igły krawców, by więźniowie byli brudni, nieogoleni, a ich ubiory nosiły ślady trudów, z jakimi się na co dzień zmagali. Weira interesowało, w jakiej kondycji byli więźniowie, jak się zachowywali wobec siebie i strażników, co jedli, w jaki sposób mówili. Źródłem były tu oczywiście wspomnienia, ale także setki zdjęć ludzi przybyłych do punktów

zbornych armii Andersa. Stańczyk: nędzny wygląd, tragiczne wyrazy tych twarzy zostały odtworzone w filmie. Dyrektor ds. castingu codziennie wysyłała polskiemu historykowi e-maile ze zdjęciami aktorów zatrudnionych do poszczególnych scen, aby upewnić się, czy grane przez nich postaci rzeczywiście mogły tak wyglądać. W efekcie widzowie zobaczą niezwykle realistyczny obraz Gułagu. – ten film obejdzie cały świat, bo reżyser taki jak Peter oglądany jest wszędzie – mówi Stańczyk. – Widzowie będą sobie zadawali pytanie, dlaczego nigdy nic nam o tym nie mówiono.

Część osób związanych z filmem obawiała się, że tak mocne i sugestywne przedstawienie sowieckich obozów może wywołać negatywną reakcję części środowisk żydowskich. Niektórzy ich przedstawiciele podejrzliwie podchodzą bowiem do nagłaśniania zbrodni komunistycznych, widząc w tym próby podważenia „wyjątkowości Holokaustu”. Weźmy chociaż taką scenę z oficjalnego traileru „The Way Back”. Wysoki płot zwieńczony drutem kolczastym. Grupa strażników otwiera szeroko bramę wejściową do łagru. Ponad nią znajdują się sierp i młot oraz rosyjski napis: „Praca w ZSRS sprawą honoru, ofiarności i bohaterstwa”. W tym samym momencie na ekranie pojawia się napis „Syberia 1940. Najbrutalniejszy system więzienny świata”.

- Pokaz przedpremierowy odbył się jesienią 2010 w Los Angeles. Na sali przeważali Żydzi. Odbiór filmu był jednak fantastyczny – opowiada Stańczyk. Ludzie nie ukrywali wzruszenia, opowiadali o wojennych losach swoich i swoich rodzin. – Nie było mowy o jakiejś rywalizacji ofiar. Dominowało poczucie wspólnoty losów ludzi dotkniętych przez oba totalitaryzmy XX wieku – dodaje historyk. Dla Stańczyka upamiętnienie deportacji to również sprawa osobista. Jego rodzina pochodzi bowiem z Wileńszczyzny i wielu jego krewnych po zajęciu tej części Polski przez Sowiety zostało wysłanych na Wschód. Na osiedlenie w głębi Związku Sowieckiego skazano między innymi dwóch jego wujów. Obaj po dwóch latach uciekli i piechota – tak jak bohaterowie filmu – dotarli do domów.

- Temat ten był zawsze obecny w mojej rodzinie, w moim życiu. Gdy w 1970 roku pojechałem do Londynu, odwiedziłem Instytut Sikorskiego. Obejrzałem tam album zdjęć przedstawiających polskie dzieci zaraz po opuszczeniu syberyjskich obozów w 1942 roku. Bardzo przypominały ofiary Auschwitz. Zrobiło to na mnie olbrzymie wrażenie. W PRL takie

zdjęcia były zakazane – opowiada. Gdy 11 lat później na stałe wyemigrował z PRL, postanowił informować świat o cierpieniach deportowanych Polaków. Pracując w Instytucie Hoovera, organizował wystawy, pomagał kręcić filmy dokumentalne, pisał artykuły i dostarczał materiały innym historykom. Były to jednak inicjatywy niewielkie w porównaniu ze skalą i rozmachem „The Way Back”.

- Kiedy w 2007 roku zadzwonili do mnie z Hollywood, wiedziałem, że nadarza się jedyna w moim życiu szansa, by oddać sprawiedliwość ofiarom Gułagu. Mogłem pomóc w tym, żeby informacje o ich cierpieniach dotarły do milionów – mówi Stańczyk. [...]

I dalej opowiada: - Kilka lat temu, w Warszawie podczas imprezy którą organizowałem w Zamku Królewskim rozmawiałem z panią, która jako dziecko została deportowana przez Sowieców. Ocalała jako jedyna z rodziny. Miała wtedy góra 7 lat. Powiedziała mi, że kiedy wypuszczono ją z sowieckiego domu dziecka i odwieziono do Polski, na granicy po raz pierwszy w życiu poczęstowano ją ciepłym posiłkiem. Wcześniej nie знаła takiego smaku! Trauma głodu nie opuściła jej nigdy. W trakcie naszej rozmowy wyciągnęła z torebki kanapkę. Do dziś boi się, że może zostać pozbawiona jedzenia. Tacy ludzie są wokół nas, przechodzą obok nas na ulicy. Ten film powstał także dla nich.

Kontrowersje budzi umieszczony na plakacie filmowym napis „Inspired by real events”. Jest bowiem powszechnie znaną, że Sławomir Rawicz z żadnego łagru nie uciekł. Rzeczywiście był więziony w obozie, ale objęta do „amnestii” ogłoszona po podpisaniu paktu Sikorski – Majski. Został zwolniony i nieludzką ziemię opuścił z armią Andersa. Do ataku na film przystąpiła już „Gazeta Wyborcza”, która wyśmiała zadowolenie, jakie film wywołuje wśród Polaków. „Doczekaliśmy się opowieści o naszym własnym baronie Münchhausenie. On wyciągnął się za włosy z bagna, a nasi bohaterowie zdobyli trudną górską przełęcz, przywiązując kawałek drutu do kamienia. (...) Na forach internetowych większość czytelników bez zmruczenia oka wierzy w opowieści Glińskiego i cieszy się z filmu Petera Weira. Co takiego tkwi w naszym narodzie, że jesteśmy w stanie uwierzyć w ewidentną bajkę, byle tylko przedstawiano nas jako bohaterów? – napisał dziennikarz Rafał Zasuń.

Szkopuł w tym, że wygląda na to, iż Rawicz po prostu ukradł tę historię innemu Polakowi, któremu rzeczywiście udało się uciec z łagru. Jednym z tych,

którzy utrzymują, że Rawicz przedstawił jego przeżycia, jest wspomniany Witold Gliński. Odwiedziłem go w Kornwalii, gdzie zamieszkał po wojnie. Ciężko chory obecnie Gliński opowiedział mi, że po tym gdy przedostał się do Kalkuty, polskie władze przerzuciły go do Londynu. – O mojej sprawie zrobiło się dość głośno. Pewnego dnia usiadło ze mną kilku oficerów i przez kilka godzin mnie przesłuchiwało. Opowiedziałem im wszystko z detalami. Była z nami sekretarka, która wszystko spisywała na maszynie, i powstał z tego pokaźny raport. Słyszałem, że po kilku latach ten raport zniknął z archiwum... - opowiadał Gliński.

Oczywiście można założyć, że starszy, będący u kresu swojego życia pan konfabuluje. Jednocześnie jednak swoje własne śledztwo prowadzi Zbigniew Stańczyk. Dokładnie przeanalizował korespondencję dyplomatyczną wymienianą podczas wojny między polskimi placówkami w Indiach a Londynem. Okazało się, że w jednym ze szpitali w Kalkucie przez kilka tygodni przechodziła rekonwalescencję grupa Polaków, którzy uciekli z Sowietów. Za ich hospitalizację płacił polski rząd. Historyk z Kalifornii ustalił, że jeden z tych uciekinierów po wojnie był sąsiadem Rawicza w Nottingham. Być może to jemu były oficer ukradł historię? Peter Weir dotarł zaś do dzieci oficera brytyjskiego wywiadu, który podczas wojny urzędował w Indiach. Ojciec opowiadał im, że podczas wojny rzeczywiście grupie Polaków udało się przedostać z Sowietów do Kalkuty. Choć film jest więc zainspirowany książką Rawicza, zadedykowano go po prostu „trzem ludziom”, którym udało się uciec z łagru. Cóż jednak z tego, skoro, jak argumentuje „GW”, podobna ucieczka była po prostu niemożliwa. Ludzie nie byliby w stanie w 12 miesięcy pokonać takiego dystansu. W zeszłym roku trzech polskich podróżników – Tomasz Grzywaczewski, Bartosz Malinowski oraz Filip Drożdż – postanowiło to sprawdzić. Trasę Jakucja – Kalkuta pokonali w pół roku. Spotkałem się z nimi zaraz po powrocie do Polski. – Podczas naszej wędrówki cały czas zastanawialiśmy się, czy byłaby ona możliwa w latach 40. bez nowoczesnego sprzętu i racji żywnościowych. Doszliśmy do wniosku, że tak. Wymagałaby oczywiście wielkiej odwagi, wytrzymałości i determinacji. Tego jednak uciekinierom z sowieckich łagrów nie brakowało – powiedział Grzywaczewski.

Cyt.: Gułag w superprodukcji / Piotr Zychowicz // Rzeczpospolita. – 2011, 12-13 lutego (PlusMinus) s. P20-P21

Polski bohater, czy polski baron Muenchhausen

[...] Cała Polska się cieszy, bo Peter Weir zrobił film o polskim bohaterze, który uciekł z łagru na Syberii przez Himalaje do Indii. Ale tak naprawdę to opowieść o polskim baronie Münchhausenie. Tamten wyciągnął się za włosy z bagna, a nasz zdobył górską przełęcz przywiązując kawałek drutu do kamienia, który następnie przerzucił na drugą stronę i po tym drucie się wspinał. [...] . Bohater to ucieleśnienie najpiękniejszych cech, jakie chcielibyśmy uważać za element naszego narodowego charakteru. Janusz jest odważny, honorowy, zaradny i inteligentny. A do tego przystojny jak „polski hydraulik” z autoironicznej reklamy Polskiej Organizacji Turystycznej. [...] Entuzjazm i pewność z jakimi polskie media rzuciły się na tę rzekomo prawdziwą historię jest zadziwiający. Autor wspomnień - por. Sławomir Rawicz okazał się oszustem, bo w czasie kiedy rzekomo uciekał, był już w armii Andersa. Ale to nie szkodzi - znalazł się inny Polak Witold Gliński, którego relację jakoby przywłaszczył sobie Rawicz i na jej podstawie skompilował swoją opowieść. Hurra, nasz człowiek czmychnął jednak z Syberii, a w Hollywood nakręcono o nim film. Nikt w naszych mainstreamowych mediach nie wysuwa żadnych wątpliwości, wszak to kolejny dowód, że Polak potrafi. [...] Mimo wielokrotnych prób sprawdzania nie udało się potwierdzić, że taka ucieczka miała miejsce. Rosyjskie archiwa dotyczące łagrów są dokładne i dostępne. Ucieczka 6 więźniów musiała być odnotowana, zwłaszcza, że chodziło o Amerykanina, których według przeprowadzonego w 1940 r. GUŁAG-owego „spisu powszechnego” siedziało w łagrach tylko trzech! Jedyne świadectwo to opowieść brytyjskiego oficera w Kalkucie Ruperta Mayne'a, który przesłuchiwał Polaków jakoby zbiegłych z łagru, tylko zapomniał ich nazwisk. Nie zachowały się jednak jakiekolwiek dokumenty. Relacja Mayne'a może być częściowo prawdziwa: do Indii mogli docierać ochotnicy z liczącej kilka tysięcy osób kolonii Polaków w Mandżurii, którzy walczyli potem w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Gotowym scenariuszem na realistyczny film jest historia ppor. Olgierda Stołyhwo, który w 1941 r. z ZSRR przedostał się przez „zieloną granicę” do Iranu, dotarł do Indii i zameldował się w Anglii, by później zostać cichociemnym i zginąć w Polsce. Być może to jego przesłuchiwał w Kalkucie Mayne. Zresztą relacja Stołyhwy wzbudziła na początku spore wątpliwości w polskim Londynie - podejrzewano go o współpracę z radzieckim wywiadem, zwłaszcza, że

przed wojną „komunizował”. Zbiegowie mieli przejść co najmniej 6,5 tys. km w rok, kierując się mchem, położeniem gwiazd i słońca. Wychodzi 20 km dziennie. Z tego trzy miesiące wypada na syberyjską zimą. Ktokolwiek próbował iść w kopnym śniegu po pas, może sobie wyobrazić, czy to jest możliwe. Jakucja to rosyjski biegun zimna, temperatura spada do minus 40 stopni, trzeba przejść przez bardzo trudno dostępne góry syberyjskie. Nie ma żadnych możliwości wysuszenia się. Nie ma możliwości uniknięcia odmrożeń, a te oznaczają śmierć. 20 km dziennie to potężny wydatek energetyczny, nie można iść w ten sposób przez trzy miesiące odżywiając się korą, bo zimą przecież robaków ani węży nie było. Nie ma możliwości przetrwania w takich temperaturach bez jakiegoś stałego schronienia, dzięki któremu przeżywali nasi przodkowie - jaskiniowcy. Gdyby było inaczej, Robert Scott umarłby we własnym łóżku, a nie na antarktycznym pustkowiu w drodze do bieguna, a przecież był o wiele lepiej przygotowany niż rzekomi zbiegowie. [...] Wyczerpujący opis bzdur i konfabulacji w książce Rawicza przedstawił etnolog i znawca Azji dr hab. Jerzy Wasilewski z UW w tekście Śladami wymyslanej ucieczki” [...] Na forach internetowych większość czytelników bez zmużenia wierzy w opowieści Glińskiego i cieszy się z filmu Petera Weira. Co takiego tkwi w naszym narodzie, że jesteśmy w stanie uwierzyć w ewidentną bajkę, byle tylko przedstawiano nas jako bohaterów?

Cyt.: Polski bohater, czy polski baron Muenchhausen / Rafał Zasuń // Gazeta Wyborcza. – 2011, 27 stycznia [dostęp]

http://wyborcza.pl/1,76842,9015850,Polski_bohater_czy_polski_baron_Muenchhausen.html



<http://fdb.pl/film/152722-niepokonani/galeria>

Jerzy S. Wasilewski (prof. Uniwersytetu Warszawskiego)
Etnolog w podróży (5)
Śladami wymyślonej ucieczki (fragmenty opracowania z roku 2004)

Nie mam dla niej dobrej nazwy, ale wierzę, że w antropologii/etnologii powinna powstać specjalność, w ramach której gromadzono by i analizowano materiały na temat ucieczek i wszelkich przypadków wyswabdzania się człowieka z niewoli, więzienia, zesłania. Taka nauka (może eskapologia? chyba lepiej z grecka: eleuterystyka) musiałaby zbierać opisy uwolnień, by na tej podstawie budować strategie ratowania się, przezwyciężania przeszkód naturalnych i sztucznych, pokonywania ludzi wrogich i przekonywania obojętnych. Mogłaby nanosić na mapę ich trasy, tworząc siatkę linii oplatających cały glob. Wynikłyby z tego jakieś nowe modele i schematy („liminalna faza anty-obrzędu przejścia od Niewoli do Wolności”), ale też praktyczny pożytek dla przyszłych uciekających – katalog typowych błędów, wskazanie na momenty newralgiczne i podstawowe zagrożenia.[...]

Przyszła nauka o ucieczkach dokona ich klasyfikacji, podzieli je na udane i nieudane, znane i nieznanie, prawdziwe i nieprawdziwe. W relacjach z nich poszuka toposów, konwencji, chwytów. Wskaże te wiarygodne, fałszywe i przesadzone. Takie kwalifikacje nie będą absolutne, muszą ulegać zmianie wraz z zapominaniem jakiegoś motywu lub odwrotnie – z rozwojem badań. [...]

Długi marsz – relacja [...] Sławomira Rawicza, wrześniowego kawalerzysty z Pińska rodem, który aresztowany przez Rosjan i skazany w wieku dwudziestu pięciu lat na tyle samo lat syberyjskiego obozu ucieka przez Mongolię, Tybet i Himalaje do brytyjskich Indii, by w końcu znaleźć się w polskich siłach zbrojnych

na Zachodzie – dopiero w ostatnich latach robi światową karierę. Czekala na nią ponad czterdzieści lat, licząc od daty pierwszego, niepozornego angielskiego wydania. Dziś jej łączny nakład w bodaj 18 językach dojdzie niebawem do miliona, ostatnią edycję opatruje przedmową sam Nicolas Bouvier, papież podróżników, recenzując ją największe światowe czasopismo, BBC zrobiła film telewizyjny, a Hollywood zakupił prawa do wielkiej ekranizacji kinowej. Wykorzystują ją jako źródło znani autorzy książek poważnych: a to Anne Applebaum, pisząca o Gulagu (nagroda Pullitzera 2003), a to himalaista Reinhold Messner, który przytacza Rawiczowy opis spotkania z yeti w swojej niedawnej książce, gdzie krytycznie analizuje przekazy na temat himalajskiego „człowieka śniegu”. Glob-troterskie sławy, takie jak francuski autor -filmowiec Sylvain Tesson z towarzyszem, rozpoczęły już przejście tą samą trasą. Tamto stare wydanie *The Long Walk* wpadło mi w ręce po raz pierwszy na początku lat osiemdziesiątych, a dowiedziałem się o nim z pewnej amerykańskiej bibliografii książek, zawierających doniesienia o spotkaniu z yeti. Nie była to wtedy pozycja znana, ale w bibliotece dobrego amerykańskiego uniwersytetu okazała się łatwa do odnalezienia. Biednie wydanie – szary, byle jaki papier, amatorskie szkicowe rysunki, zapewne niewielki nakład.

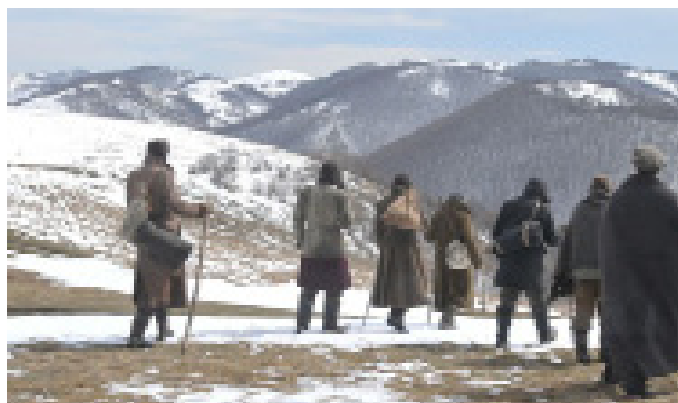
Najbardziej mnie interesująca część azjatycka okazała się zaskakująco uboga w konkrety. Po jej przeczytaniu wzruszyłem ramionami, i to wcale nie ze względu na krótki opis widzianej z od-dali pary ni to ludzi, ni to zwierząt. Zna-

jąc część opisanej trasy z autopsji, nie miałem wątpliwości – ta książka to oczywista fikcja, naiwna i rażąco nieprawdziwa, przynajmniej od połowy, kiedy młody narrator we wzorowo międzynarodowym towarzystwie (typowym dla młodzieżowej literatury przygodowo-podróżniczej) wyswabdza się zza drutów jakuckiego łagru i dzielnie przewodząc towarzyszom niedoli pokonuje na piechotę kilka tysięcy kilometrów. Załączona mapka śmiałą kreską zaznacza szlak, przecinający rzeki Lenę i Witim, pasma Gór Jabłonowych, Czerskiego, Borszczowocnych i parę mniejszych, prowadzący dalej wschodnim brzegiem Bajkału, przez mongolski Chentej, step, pustynię Gobi, tybetański płaskowyż, by gdzieś na zachód od Lhasy przekroczyć grzbiet Himalajów i zakończyć się w nienazwanej miejscowości we wschodnich Indiach. Co do wcześniejszych, indywidualnych perypetii bohatera, to nie wątpię w ich prawdziwość, bo aresztowanie przez Rosjan po wrześniu 1939 roku, łubianka i inne więzienia, droga na Syberię, łagry – to oczywiste elementy losu niejednego, zwłaszcza kresowego Polaka tamtych czasów.

[...] Rozumiałem, że opublikowanie doniesienia o sowieckich łagrach w powojennej Europie, gdzie nikt nie chciał słyszeć prawdy o zbrodniach niedawnego sojusznika (przed Solżenicynem przecież nawet Herling nie był w stanie przebić się przez ten mur), było możliwe jedynie pod warunkiem ubrania relacji w kostium przygodowy i dodanie orientalizującego sztafażu.

Powoli zapomniałem szczegóły książki, która jednak – na przekór wszelkim spodziewaniom – wydostała się ze zbiorowej mogiły. Po roku 1989 mogło już ukazać się jej wydanie polskie, na którego podstawie zrobiono filmik telewizyjny (z tymi samymi biednymi rysunkami w roli

<http://fdb.pl/film/152722-niepokonani/galeria>



materiału ilustracyjnego), pojawiały się jakieś wzmianki w prasie, potem w Internecie – i wszystkie pochlebne. Zatrąbiła narodowa trąbka: „któż inny jak nie Polak mógł być inicjatorem takiego przedsięwzięcia”, „drugi Rufin Piotrowski” (XIX-wieczny zesłaniec-uciekier), domagano się dla autora orderu Polonia Restituta. Chyba dość nagle wybuchła też światowa kariera Długiego marszu. Czułem się coraz dziwniej: czy tylko ja widzę, że król jest nagi? A może się mylę, może zapomniałem lub przeoczyłem jakąś wartość tej książki w trakcie dawnej, anglojęzycznej lektury? [...]

Poruszając w ciągu kilkunastu lat po różnych partiach tych samych bezdroży, przez które jakoby przeszedł „Slav” i jego towarzysze, zadawałem sobie często pytanie: jak naprawdę musiałaby przebiegać taka ucieczka, gdyby rzeczywiście miała miejsce? Jak powinien wyglądać opis tych krain, gdyby autor widział je naprawdę? Co mogłoby i musiało zdarzyć się po drodze, a nie ma o tym w relacji, bo autor zmyślił ją, nie znając tamtejszych realiów? Co powinno było znaleźć się w opisie, bym mógł uwierzyć w jego prawdziwość?

Na syberyjskie rzeki, na tajgę z jej moczarami i gęstwiną, na mongolskie i tybetańskie bezludzia patrzyłem pytając: czy tędy dałoby się przejść i dojść do obranego celu – bez mapy, kompasu, bez dobrych butów i odzieży, bez broni, lekarstw i środków zdobywania pożywienia, bez elementarnej znajomości języków i realiów geograficzno-politycznych? Czy można było przeżyć, mając przez cały czas za wrogów zarówno przyrodę, a więc brak ludzi, jak i ich obecność? Albowiem przez ponad połowę trasy, w granicach stalinowskiego systemu, każdy jego syberyjski czy mongolski poddany musiał być chcąc-niechcąc prześladowcą uciekinierów; natomiast w drugiej połowie trzeba było iść przez tereny ogarniętych wojennym rozgardiaszem Chin północnych i płataninę pasm górskich wschodniego Tybetu, gdzie grasowały bandy niepełacanych żołnierzy i rabusiów, w tym zwłaszcza z plemion Khampów i Goloków, którzy napadanie na przejezdnych traktowali jak sport.

Dopiero niedawno, będąc w Jakucji, zaznałem się z chronologicznie pierwszym, a dotąd mi nieznanym odcinkiem Rawiczowego szlaku; tam przeczytałem książkę po polsku – z tymi samymi uczuciami mieszanina i zażenowania, co kiedyś. Jak można traktować ją jako

autentyk i stawiać autorowi pomnik? Przecież to okraszona gołosłownymi zapewnieniami o prawdziwości powieści przygodowa, która co najwyżej w swej początkowej partii (aresztowanie, obóz) relacjonuje czyjeś autentyczne losy. W tej części, która zapewniła jej popularność, nie jest dokumentem, ale właśnie powieścią młodzieżową, zawierającą tak wiele naiwnych wyobrażeń, prostodusznych lapsusów i pomysłów z kalendarza, że zwłaszcza ktoś, kto był w tych miejscach, musi zakwestionować prawdziwość opisów – ubogich w konkrety, a bogatych w błędy i groteskowe zmyślenia.

Chwalący tę książkę nie zauważyli, że autor miesza ze sobą elementy dwóch konwencji – wspomnieniowej i fabularnej. Zapewnienia, iż naprawdę przebył tę niewiarygodną peregrynację, formułuje w pierwszej, ale „dowodów” dostarcza niestety tylko w konwencji przygodowej. Nie daje żadnych poważnych świadectw wiarygodności, nie stara się przekonać ewentualnych sceptyków. Wrażenie prawdziwości stara się stworzyć na dwa równie sprytnie-naïwne sposoby: albo tłumaczy się niepamięcią w odniesieniu do spraw zasadniczych, albo serwuje pozornie konkretne szczegóły, które nie mają żadnej wartości dokumentalnej. Z jednej strony są zatem częste tłumaczenia, że „nie potrafię sobie przypomnieć, jak kolejno zmieniała się topografia” (s. 122). Pięknie powiedziane, ale nawet z wysokiego brzegu nie było przecież widać oddalonego o tysiąc kilometrów w linii prostej jeziora, wąskiego jak igła (w syberyjskich proporcjach) i oddzielonego niezliczonymi górami. Jak zatem określili kierunek marszu, że już po paru tygodniach znaleźli się dokładnie nad jego świętymi wodami? Ale dajmy spokój fikcji przygodowo-powieściowego myślenia – w realiach górskich nie ma przecież możliwości marszu po najkrótszej linii. Należałoby raczej spytać, którędy musieliby naprawdę iść uciekinierzy, po czym opisać, jak wygląda taka droga i porównać to z wersją książkową, by wskazać, że nie ma tam tego, co być powinno, a jest to czego być nie mogło.

O tej porze roku prawdziwą drogą pieszej ucieczki mogłaby być tylko Lena, zamarznięta zawsze do maja, kiedy to zaczyna się ledochód, a w późniejszych miesiącach idący wzdłuż niej trakt Irkuck-Jakuck. Ten trakt, podstawowa linia komunikacji lądowej między południową Syberią a Jakucją, liczył zawsze 2761 km i ani jednego kilometra mniej. Poruszanie się nim – tak jak i samą Leną – groziło może niepożądanymi spotkaniami, ale był to przynajmniej wytyczony szlak, przetarty i równy; na zamarzniętej rzece jedyną przeszkodą, a i to niewielką, mogły być wypiętrzone zwaliny lodowe – torosy. Musiało to skusić każdego uciekiniera. Bo przecież wszędzie dookoła jest tylko gęsta tajga, w maju może już nie bardzo zaśnieżona (zresztą zarówno Jakucją, jak i dalsze obszary stepowe to kraina kontynentalnego klimatu, bez obfitych opadów zimą; jednak w wyższych górach śnieg byłby prawdziwą przeszkodą). Jej pokonywanie oznaczałoby ciągle przedzieranie się przez suche, czarne gałęzie modrzewi, przekraczanie zwalonych pni, obchodzenie błot i grzęzawisk, mordercze brnięcie w górach.

Tajga to teren niełatwy do chodzenia, zwłaszcza na wprost. To wcale nie potężne okazy drzew, przechadzka wśród których byłaby przyjemnością – to gęsty las modrzewi, sosen, brzoź, wprowadzie wysokich, ale niezbyt dorodnych. Obecność lodowej zmarzliny tuż pod powierzchnią

nie bali się zbyt długo, bo ślady zasypanywał śnieg. Wszystko szło zatem jak z płatka. Przeszedłszy rzekę „napiliśmy się jeszcze zimnej, czystej wody z Leny, wspieliśmy się na wysoki brzeg i ruszyliśmy naprzód, w kierunku jeziora Bajkał, następnego etapu naszej wędrówki” (s. 122). Pięknie powiedziane, ale nawet z wysokiego brzegu nie było przecież widać oddalonego o tysiąc kilometrów w linii prostej jeziora, wąskiego jak igła (w syberyjskich proporcjach) i oddzielonego niezliczonymi górami. Jak zatem określili kierunek marszu, że już po paru tygodniach znaleźli się dokładnie nad jego świętymi wodami? Ale dajmy spokój fikcji przygodowo-powieściowego myślenia – w realiach górskich nie ma przecież możliwości marszu po najkrótszej linii. Należałoby raczej spytać, którędy musieliby naprawdę iść uciekinierzy, po czym opisać, jak wygląda taka droga i porównać to z wersją książkową, by wskazać, że nie ma tam tego, co być powinno, a jest to czego być nie mogło.

O tej porze roku prawdziwą drogą pieszej ucieczki mogłaby być tylko Lena, zamarznięta zawsze do maja, kiedy to zaczyna się ledochód, a w późniejszych miesiącach idący wzdłuż niej trakt Irkuck-Jakuck. Ten trakt, podstawowa linia komunikacji lądowej między południową Syberią a Jakucją, liczył zawsze 2761 km i ani jednego kilometra mniej. Poruszanie się nim – tak jak i samą Leną – groziło może niepożądanymi spotkaniami, ale był to przynajmniej wytyczony szlak, przetarty i równy; na zamarzniętej rzece jedyną przeszkodą, a i to niewielką, mogły być wypiętrzone zwaliny lodowe – torosy. Musiało to skusić każdego uciekiniera. Bo przecież wszędzie dookoła jest tylko gęsta tajga, w maju może już nie bardzo zaśnieżona (zresztą zarówno Jakucją, jak i dalsze obszary stepowe to kraina kontynentalnego klimatu, bez obfitych opadów zimą; jednak w wyższych górach śnieg byłby prawdziwą przeszkodą). Jej pokonywanie oznaczałoby ciągle przedzieranie się przez suche, czarne gałęzie modrzewi, przekraczanie zwalonych pni, obchodzenie błot i grzęzawisk, mordercze brnięcie w górach.

Tajga to teren niełatwy do chodzenia, zwłaszcza na wprost. To wcale nie potężne okazy drzew, przechadzka wśród których byłaby przyjemnością – to gęsty las modrzewi, sosen, brzoź, wprowadzie wysokich, ale niezbyt dorodnych. Obecność lodowej zmarzliny tuż pod powierzchnią

uniemożliwia im głębokie zakorzenienie, co sprawia że cięższe wywracają się, tarasując przejścia, i tak zarośnięte gęstymi krzakami. Do ich przecinania służyły Jakutom krótkie żelazne maczety na trzonku, tzw. palmy.

Nie rozpoznaję tego wszystkiego w takich oto opisach: „pagórkowate tereny z rzadka porośnięte karłowatymi drzewami i krzakami”, „teren zarośnięty karłowatymi drzewami, krzakami i kępami traw” (s. 122, 124).

Oczywiście, nie cały obszar, który mieli by do pokonania nasi uciekinierzy stanowiła tajga (ale też na pewno nie byłaby to tundra z opisu powyżej). Początkowe równinne obszary centralne, z brzożami i olchami powinny przypomnieć autorowi rodzime Polesie (czego nie dostrzega). Częstym elementem jakuckiego pejzażu, na który musieliby się natknąć wśród lasów, są kilkukilometrowe „polany”, tzw. ałasy. Zarodek ałasu stanowi powiększające się latami jeziorko z wytopionej zmarzliny, wokół którego rosną trawy, dobre do wypasu i sianokosów. Stoi tam zwykle jeden lub kilka bałaganów – domów z bali, o ukośnych ścianach, obmazanych krowim nawozem i takie same zabudowania gospodarcze, a na skraju – parę starych krzyży rodzinnego cmentarzyka. Ta typowa forma odosobnionego letniego bytowania Jakutów sprzed kolektywizacji była w czasach stalinowskich zastępowana standardowymi domami w kołchozowych wioskach, ale przetrwała do lat 60-tych, kiedy to padła ostatecznie ofiarą polityki ukрупnienia (przesiedlania ludzi do większych wsi). Do dziś jeżdżąc po ulicach centralnej Jakucji spotyka się takie opuszczone chutory.

Przez obszary bezleśne przepływają często podskórne ciekły wodne, powodujące zabagnienia na długości kilkudziesięciu kilometrów, które trzeba całymi dniami obchodzić, gubiąc się i myląc zasadniczy kierunek. Po majowych roztopach na miejscu zamrożonego i dającego się przejść gruntu pojawiają się grzęzawiska; zaraz wylęgną się tu chmary meszek i komarów, które przez całe lato nie dadzą spokojnie przejść przez tajgę; będzie je wspominał każdy, kto tam był – poza autorem. [...]

Nawet miejscowi gubią się na całe tygodnie w bezludnej tajdze (donoszą o tym co lato jakuckie gazety), strzelba – której uciekinierzy nie mieli – jest zasadniczym warunkiem przetrwania. Korzystanie ze znających wszystkie przejścia lokalnych

przewodników było i jest kolejnym nieodzownym elementem podróżowania po górzystych partiach Syberii; piszą o tym dawni kupcy i eksploratorzy. [...]

Pora w końcu zapytać, co też jedli nasi bohaterowie. Otóż okazuje się, że całym spory zapas pożywienia można było odłożyć z głodowych obozowych porcji (i to już po krótkim tam pobycie), a zresztą tajga wprost sama dostarcza żywności, nawet tym, co nie mają strzelby. Pomysłowości nie powstydziłby się baron Münchhausen. „Jeden szczęśliwy rzut kijem, trochę szamotania, pył wzbitego w górę śniegu – i świetna kolacja z syberyjskiego zajęcia dla wszystkich” (s. 123); potem jest jeszcze weselej: na drodze uciekinierów znalazł się jeleni, zaplątany rogami w korzenie zwalonego drzewa, który dostarczył siedmiu mężczyznom takiej ilości mięsa, że nie byli w stanie dźwigać go ze sobą; na rewelacje owocowe przyjdzie jeszcze czas. [...]

Wejście na teren Mongolii rozpoczyna autor od opisu, który jest wystarczającym dowodem, że nigdy w życiu, ani przez chwilę tam nie był. Oto wśród „terenów uprawnych” przepływają „liczne rzeki, którymi płynęły wyładowane sampany. Łodzie musiały płynąć do Urgi, miasta leżącego u zbiegu trzech rzek” (s. 159). Śmiać się czy płakać, czytając o tych terenach uprawnych i wyładowanych sampanach, których jako żywo nigdy tam być nie mogło, bo płyną dopiero po rzekach południowych Chin? A gdy jeszcze okaże się niebawem, czym są one wyładowane... Otóż „melonami wielkości piłki futbolowej!” (s. 168). Nasz Münchhausen śmiało raczy nas zapewnieniami: „wizdzielśmy później wiele dżonek na innych rzekach Mongolii Zewnętrznej” (s. 162). Na niejednej z nich Chińczyk „odziany w charakterystyczny stożkowy kapelusz” pozdrawia ich z uśmiechem (s. 161), zaś na lądzie mongolskie powitania brzmią „oby twoje nogi służyły ci jak najlepiej w drodze” (s. 163; byłby to dobry przykład do studium nad zmyślnymi konwersacjami, prowadzonymi przez Europejczyków z literackimi tubylcami, typu „ile odmieniło się księżyców, odkąd szlachetny pan raczył opuścić progi swego pałacu?”). Z Mongołami, zamieszkującymi „wioski o płaskich dachach” (nie jest to chyba najdokładniejszy opis obozowiska białych, wołokowych jurt) rozmawia autor po rosyjsku (którego nie-książkowi Mongołowie absolutnie nie znają) o ich osłach i mułach (których tam nie ma), oni zaś częstują go figami i orzechami (jak

wyżej). A nawet tym, którzy nie rozumieją rosyjskiego, wystarczy powiedzieć słowo „Lhasa”, by „wywołać w odpowiedzi gest ręki, wskazujący kierunek” (s. 158). Zapewne w Azji wszystkie drogi prowadzą do Lhasy, co bardzo ułatwia wymyśloną wędrówkę. [...]

Jakże rozzaczarowany byłby prawdziwy uciekinier, który zamiast tych serdeczności i smakołyków musiałby się zetknąć z prawdziwym obliczem stalinowskiej (czołbałsanowskiej) Mongolii. Bez dżonek i melonów, w biedzie wyłącznie pasterskiej gospodarki, za to z obsesją szpiegów i agentów, świeżą jeszcze po ledwie co wygastłych walkach z Japończykami nad Chałchyn goł. Bo ten pasterz owiec, zdziwiony wizytą w jurcie gromady cudzoziemców, bełkoczących coś rozpaczliwie – już by on wiedział, tak samo jak ów oberżysta z Clamart, kogo i gdzie trzeba powiadomić. Nie później niż nazajutrz podjechałby pod jurtę gazik, z którego wysiadłoby dwóch nie mających ochoty do żartów panów, w czarnych kapeluszach i tegoż koloru długich, skórzanych płaszczach (sam takich widziałem, bo ta międzynarodowa moda utrzymywała się w Mongolii jeszcze w latach siedemdziesiątych), a zaraz potem dojechałaby ciężarówka, na którą pod lufami zapakowano by naszych bohaterów i zawieziono na nieprzesadnie długie śledztwo z wiadomym zakończeniem. [...]

Opis przekraczania pustyni Gobi przekracza granice tolerancji i właściwie odbiera recenzentowi wiarę w sensowność jego krytyki. Autor niestety zupełnie nie wiedział, że jest to ogromna i geologicznie zróżnicowana strefa, gdzie dziesiątkami kilometrów ciągną się najpierw partie skaliste i żwirowe (Czarna Gobi, Czerwona, Szara, Piaszkowa i in.). W opisie Rawicza zostaje ona przedstawiona jak pustynia z obrazka: nic tylko piaszczyste wydmy, a po tygodniu chodzenia po nich wprost przed naszymi wędrowcami pojawia się ratująca od śmierci z pragnienia oaza, i to z palmami (ale za to bez ludzi, bo konwersacja byłaby zbyt trudna). A żeby nie wszyscy bohaterowie zmarli z głodu, po drodze aż roi się od wielkich węży, który dostarczają pożywienia przez cały rozdział (nie muszę mówić, że nic o nich nie wie mongolska herpetologia). [...]

Czary mojej irytacji dopełnił za to sposób, wymyślony przez autora, by wspiąć się na wyjątkowo stromą, zaśnieżoną przełęcz. Oto do niesionego od daw-

na kawałka drutu przywiązuje on ciężki kamień, przerzuca go na drugą stronę przełęczy i po tym drucie się na nią wciąga! To istne Himalaje groteski. Ale jak inaczej chłopak z Pińska, który pewnie nie był nawet w Zakopanem, mógł wyobrazić sobie pokonywanie tych gór w latach, kiedy na dobrą sprawę dopiero zaczynano je zdobywać?

Nie muszę mówić, że autor jest konsekwentny i do końca i nie podaje ani nazwy miejscowości w Indiach, do której trafia, ani żadnych szczegółów na temat tamtejszej jednostki wojskowej czy jej oficerów – anonimowi ludzie bez narodowości, nazwisk, stopni. Podobnie też rozpląną się w niebycie pozostali przy życiu bohaterowie książki – najwidoczniej zbyt papierowi i ulotni, by dało się odnaleźć ich po wojnie.

[...] Trzeba też powiedzieć – jakby to dziwnie nie zabrzmiało – że Jakucja nie była krainą obozów. Ostawiona Kołyma i królestwo Dalstroju to był odległy, inny świat. Wprawdzie kwestie te nie są jeszcze dobrze przebadane, ale jakucy badacze doliczyli się „tylko” 104 obozów, przy czym akurat w środkowej Jakucji (a właśnie tu miałby być Rawiczowy numer 303) łagrow nie było w ogóle! Nic zatem dziwnego, że wspomniany Sylvain Tesson rozpoczął swój marsz śladami Rawicza od jakiegoś starego łagru nad Ojmiakonem, a więc znacznie dalej na południowy wschód, a do tego na drugim brzegu Leny; nota bene, późniejsze doniesienia internetowe na jego temat, pochodzące z Irkucka, mówią że przesiadł się już na rower.

Jak sugerowałem, podejrzanie często lapsusy Rawicza zdradzają, że jeśli miał on przed oczami jakieś obrazy (stereotypowe czy autentyczne), to pochodzą one raczej z południowych republik ZSRR: wszystkie te frukty, osły i karawany wielbłądów z bawełną są na Syberii zupełnie nie na miejscu. Parokrotnie powtarza się też idiotyczna myśl, by uciekać do Afganistanu, na który to pomysł nie wpadłby żaden więzień łagru nad Leną, a prędzej już ktoś, kto przebywał w środkowoazjatyckiej części Gułagu. Może zatem autor przeszedł w rzeczywistości inną, bardziej typową drogę polskiego żołnierza-zesłańca: z łagru gdzieś za Uralem (tam mógł usłyszeć o Ostiakach) przez południe ZSRR do armii Andersa? Może to wspomniany Downing namówił go na przesunięcie scenerii ku Tybetowi, w czym miał swój interes ze

względem na zainteresowanie dla tematu yeti? A skoro już punktem dojścia miała zostać kraina śniegów i Indie, to naturalnie było rozpocząć literacką ucieczkę gdzieś na wschodniej Syberii (im bardziej oddalonej na północ, tym dzielniej, no i ciekawiej dla czytelnika). [...]

Można więc podejrzewać, że przy takich uwarunkowaniach pisać o ucieczce przez całą Syberię w konwencji przygodowej mógł tylko człowiek, który nigdy w łagrze nie był. Na dodatek obraz życia obozowego, jaki rysuje Rawicz, nie jest rozbudowany, a przecież wiemy, jak bogaty i różnorodny był to świat – pod względem ludzkim, przedmiotowym i językowym. Wszystkie te urki, zeki, wory w zakonie, zona, kawecze – u Rawicza jest takiej etnografii bardzo mało. No tak, nie każdy musi być Solżenicynem, Herlingiem czy Szalamowem. [...]

Pamiętam jednak, że to pół-literacka konwencja mogła pociągnąć za sobą zafałszowania czy uproszczenia, które nie muszą być dowodem nieprawdziwości faktu aresztowania.[...]

Z bibliografii zawartej w przypisach:

J. G. Frazer, *Gorgona's Head and Other Literary Pieces*, London 1927

S. Rawicz, *The Long Walk*, London 1956; wyd. polskie: *Długi marsz*, Gdańsk 2001 Wydawnictwo Gord (dalsze cytaty z podaniem tylko numeru strony według tej edycji). Wydanie polskie podaje jako oryginał tytuł angielski – byłoby to zatem tłumaczenie, dlaczego jednak anonimowe? Czy Rawicz sam napisał tekst polski?

A. Applebaum, *Der Gulag*, Berlin 2002,

s. 426, 671; R. Messner, *Yeti*, Warszawa 2002. Rosyjskie głosy o książce i doniesienia o wyprawie Tessona:

T. Lisiecki, Sławomira Rawicza ucieczka z łagru 303, „Prace Uczestników Studium Doktoranckiego” [UŚ], t. 1, Opole 2002, s. 134; C. Chlebowski, Ciernista droga „Długiego marszu”, „Tygodnik Solidarność”, nr 9/2002, s. 14.

K. Rengarten, *Pieszko do Chin. Wrażenia z podróży*, Warszawa 1899, s. 46.

Warto by też sprawdzić, jak relacja Rawicza prezentuje się na tle całościowego obrazu łagru, wyłaniającego się z dziesiątków nieliterackich zapisów; materiał do takiego porównania zestawia np. I. Sariusz-Skąpska, *Polscy świadkowie GUłagu. Literatura łagrowa 1939-1989*, Kraków 2002.

Opinię tę przywołuje Applebaum, ale nie odważa się dyskredytować dzieła Rawicza, które raz i drugi cytuje jako dokument.

S. Waydenfeld, *Droga lodowa*, Lublin 2002, s. 123.

Już po napisaniu tego tekstu natrafiłem na wcześniejsze polskie wydanie (1993, Londyn-Warszawa, Wydawnictwo Unicorn) z podobizną autora, a także bogoojczyźnianymi wstępami jego oraz Ryszarda Reiffa. Nie ma w nich ani słowa uwiarygodniającego ucieczkę, a jedynie martyrologia, Katyń i Jałta. Oba te teksty znikły z następnych wydań – szkoda tylko, że wraz ze zdjęciem.

DOSTĘP DO TEKSTU ZE STRONY PROF. JERZEGO SŁAWOMIRA WASILEWSKIEGO [HTTP://WWW.ETNOLOGIA.UW.EDU.PL/ETNO/INSTYTUT/PRA-COWNICY/JSW](http://www.etnologia.uw.edu.pl/etno/instytut/pracownicy/jsw)





WiMBP zaprasza



23 lutego 2011 o godz. 17.00

na prezentację książki

**NSZZ "Solidarność" w regionie łódzkim
w dokumentach Służby Bezpieczeństwa 1980-1981**

Wybór i opracowanie dokumentów Sebastian Pilarski i Robert Rabiega

Prezentacji książki będzie towarzyszyć **wystawa** wydawnictw Instytutu Pamięi Narodowej



1 marca 2011 (wtorek) o godz. 17.00

na spotkanie

Dyskusyjnego Klubu Książki

przy WiMBP im. Marszałka J. Piłsudskiego
Cafe „Fraszka” I piętro Biblioteki, ul. Gdańska 100/102

Zapraszamy do dyskusji o książce
„Kto zabija najślawniejszych amerykańskich pisarzy?”
Robert Kaplow’a.



14 i 18 marca 2011

na obchody Dnia Świętego Patryka w Łodzi

W programie:

14 marca (poniedziałek)

16.30 - otwarcie wystawy fotografii i książek
Zachodnia Irlandia, Wyspy Aran, Dublin - magia i celtycki duch - ze zbiorów Marioli i Agnieszki Sochy (Łódź)
17.00 - *Pogmatwane losy Zielonej Wyspy* - Krzysztof Schramm (Fundacja Kultury Irlandzkiej)
17.45 - rozstrzygnięcie konkursu internetowego „Blżej Irlandii”
18.00 - film „Ondine”, reż. Jordan Neil, obsada: Alicja Bachleda-Curuś, Colin Farrell, Stephen Rea

18 marca (piątek)

17.00 Irlandia - podróż z marzeń - prezentacja multimedialna Marioli Sochy
18.00 koncert zespołu The Tone Nation
w składzie: Ewelina Grygier – drewniany flet poprzeczny, tin whistle, Patrycja Napierała - bodhrán, cajan, cymbals, Szymon Białek – gitara akustyczna.

Obchody pod patronatem
Pana Mateusza Morawieckiego
- Konsula Honorowego Irlandii,
we współpracy z Fundacją Kultury Irlandzkiej (Poznań)



Wybór, opracowanie materiałów: Piotr Bierzwiński
Skład: Dział Metodyki, Analiz i Promocji WiMBP w Łodzi
Nakład: 100 egz.
Numery BIBiKa dostępne są na stronie www.wimbp.lodz.pl w dziale **Wydawnictwa własne**.
Bezpośredni link do archiwum BIBiK-ów bibik.wimbp.lodz.pl

